Nr. 3. Lwów dnia 1 Lutego 1890. **Rok I.**

GWIAZDA KATOLICKA

czasopismo religijno-naukowe społeczne i beletrystyczne.

„*Gwiazda katolicka*“ wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca w objętości 2—1½ arkuszy druku i kosztuje w *Austryi*: całorocznie 6 zł., półrocznie 3 zł., kwartalnie 1 zł. 50 ct.— W *Niemczech*: rocznie 12 marek, półrocznie 6 m., kwartalnie 3 m. — W *Francyi, Włoszech, Rumunii* i *Turcyi*: rocznie 16 fr., półrocznie 8 fr., kwartalnie 4 fr. — W *Ameryce* 4 dolary rocznie.

Przedpłatę nadsyłać należy wprost do Redakcyi (*Lwów*, ul. Ossolińskich, l. 11).

Ogłoszenia umieszcza się za opłatą 6 ct. od jednego wiersza. Przyjmuje takowe: administracya „Gwiazdy katolickiej“ i biuro anonsów p. Hub. Friedla w Wiedniu (V. Margarethen-platz 2.)

Reklamacye uwzględniają się tylko w przeciągu dni 14 po wyjściu nru.

Odpowiedzi następują tylko na listy, w których załączone są marki pocztowe.

Rękopisów nie zwraca się. — *Numer pojedynczy* kosztuje 24 ct.

WŁAŚCICIEL, WYDAWCA I ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KS. MARCELI DZIURZYŃSKI.

Jakie mamy dowody na istnienie Boga?

III.

1. Pierwszą podwaliną religii jest istnienie Boga. Powiedzieliśmy bowiem w poprzednim artykule, że religia jest cnotą, którą ludzie Bogu należną cześć oddają, jako Stwórcy i Najwyższemu Panu wszech rzeczy. „Każda zatem religijna rozprawa jest niemożliwa — jak słusznie utrzymuje Balmes, słynny filozof hiszpański [1]) — jeżeli się naprzód istnienia Boga nie uzna. Jeżeli Bóg nie istnieje, to nie ma żadnej religii, a następnie wszystko fałszem, co o tym przedmiocie powiedziećby można. Z przezorności więc, aby ci, co w nic nie wierzą, także i istnienia Boga do wymysłów ludzkich nie policzyli, musimy najpierw tę prawdę udowodnić.

„Smutną to niestety jest rzeczą, że w naszych czasach potrzeba wszystkiego dowodzić, nawet tych najgłówniejszych prawd, których niezachwianość i oczywistość zdala je od wszelkiej dyskusyi trzymaćby powinna; skoro jednak wszystkiemu zaprzeczają, musimy na wszystko mieć dowody“.

2. Otóż jednym z najprzystępniejszych i najjaśniejszych dowodów jest: zgoda całego rodzaju ludzkiego na to: że Bóg istnieje. Jeżeli bowiem wszyscy ludzie, uczeni i nieuczeni, jeżeli wszędzie, u wszystkich narodów po całej ziemi, jeżeli zawsze, bez przerwy, od początku świata aż do dni naszych, uznawali Bóstwo, oddawali mu cześć, składali ofiary, budowali świątynie, to zdrowy rozsądek zmusza nas uznać, że to ich przekonanie musi się opierać na prawdzie.

[1]) Pisma różne: o istnieniu Boga.

„W każdej rzeczy — mówi Cicero [1]) — zgoda wszystkich ludzi musi być uważaną za prawo natury. Gdyby bowiem tego (na co się zgadzają) rozumem swym jasno nie poznawali i pewnymi nie byli, nie trwałoby to ich przekonanie tak stale, aniby długością czasu się utwierdziło, ani razem ze stuleciami i wiekami ludzkiemi zestarzećby się mogło. Gdyż widzimy, jak wiele czczych wymysłów z czasem upadło... bo wymysły mniemań ludzkich obala dzień, ale sądy natury potwierdza“ [2]). Podobnież Seneka [3]): „Wiele budujemy na zgodzie wszystkich ludzi, i dowodem prawdy jest u nas, jeżeli coś wszyscy uznają“.

3. Jest zaś faktem historycznym, że żadnego narodu nie znaleziono nigdy, któryby pojęcia o Bóstwie nie miał, jego istnienia nie uznawał, do niego się nie modlił; owszem, faktem jest historycznym, że wszystkie ludy zawsze i wszędzie wyznawały jakieś Bóstwo, wzywały go w swych potrzebach, błagały ofiarami, uroczystościami czciły itd.

Dla tego ciągnie dalej Balmes tamże: „Ci, co istnienie Boga przeczą, nie mogą prawdziwie na żadnej cudzej powadze się oprzeć; przeciwnie, cały rodzaj ludzki oświadcza się przeciw nim, od wszystkich ludzi w tem są opuszczeni, pozostawieni sami jedni, bo przeczą temu, co inni za prawdę uznali“.

My zaś, tyle mamy pierwszorzędnych, najznakomitszych powag, że zaledwie w malutkiej cząstce wspomnieć tu tylko o nich możemy; stanowią one bowiem liczne wolumina dziejów rodzaju ludzkiego. Przerzućmy tylko karty „Historyi powszechnej“ Weissa, Cantu, Holzwartha itd., a łatwo się o tem przekonamy.

[1]) Disp. Tuscul. l. l. c. 13. — [2]) De nat. deor. l. 2. n. 5. — [3]) List 117.

4. Zwrócimy się do najstarszych podań Mojżesza, dowiemy się, że zanim cokolwiek stworzone zostało, istniał sam z siebie Bóg, który cały wszechświat z nicości wyprowadził; pierwsi ludzie rozmawiali z Nim w raju, ich potomkowie budowali Mu ołtarze i składali ofiary, a choć potem rozpasali się na ciężkie występki, zaprzeczyć Go jednak nigdy się nie odważyli.

Udamy się do Chińczyków i zapytamy o wyznanie ich przodków, wskażą nam napis na najstarszej świątyni swej stolicy: „Prawdziwemu wszech rzeczy Początkowi, ktory nieskończenie dobry i mądry, oświeca, utrzymuje, rządzi wszystkiem z najwyższą władzą i najświętszą sprawiedliwością. Nie miał początku i końca mieć nie będzie, stworzył wszystkie rzeczy na początku, rządzi i jest prawdziwym Panem“.

Zajrzymy do najstarożytniejszej biblioteki królów assyryjskich złożonej z 20.000 płyt glinianych, wyczytamy tam przedewszystkiem: naukę o Bóstwie, modlitwy i hymny ku jego czci.

Rozwiniemy najstarsze papyrusy egipskie, np. turyński, dowiemy się, że: „istnieje najświętszy Stwórca pełności świata, rządca dni. — Jestem Bostwem bogów, wielkim sprawcą gwiazd niezliczonych, które nad głową twoją mię wysławiają. Jestem stwórcą wspaniałego rodu potęg... jestem najświętszy, który skazuje przestępców.... Chwała obliczu twemu, który pełnię światu utkałeś, Boże Najświętszy! Panie wszystkiego, co ma w sobie tchnienie; służę Panu, którego lękają się ziemie wszystkie, Najświętszemu w krainie światłości.“

Odczytamy napisy najstarszych piramid w Egipcie, a usłyszymy, że: „Bóg jest jeden, sam, jedyny. Jest on jedyną istotą, żyjącą prawdziwie. Ty jesteś jeden, a tysiące istot od ciebie pochodzi. Zdziałał on wszystko, lecz sam jeden nie jest uczyniony. Utworzył on niebo, utworzył ziemię, uczynił wszystko, co istnieje“. (De Rougé).

Wtajemniczmy się w święte księgi starych Indów, a znajdziemy je pełnemi takich modlitw, jak np. ta: „Istoto wiekuista, wszechmocna! Ty jesteś stworzycielem wszech rzeczy, Bogiem bogów, zachowawcą świata. Natura twoja nieskażona, różna od wszystkich rzeczy znikomych. Ty byłeś przed wszystkimi bogami, Ty jesteś duszą żywiącą, wzniosłą podporą świata, znasz wszystkie rzeczy i godny jesteś, aby cię znali wszyscy. Przez ciebie świat wyszedł z nicości, bądź czczony wszędzie itd.“

Niestety, zakres niniejszej rozprawy nie pozwala nam więcej tak jasnych świadectw innych ludów przywieść, wyręczyły nas zresztą w tem bardzo gruntownie historye powszechne i specyalne badania, do nich więc odsełamy. Wystarczy nam zakończyć zeznaniem Plutarcha [1]): „Gdybyś obszedł ziemię, mógłbyś znaleść miasta bez murów, bez nauk, bez królów, bez domów, bez bogactw; nie znające szkół, ani teatrów; — ale ludu bez świątyń i Bóstwa, któryby się nie modlił, nie używał przysięgi, nie radził się wyroczni, nie składał ofiar dla otrzymania dobrodziejstw, nie usiłował odwrócić złego obrzędami świętymi, nikt nigdy nie widział. Owszem, mniemam, że łatwiej jest miasto zbudować w powietrzu, niż usunąwszy wszelkie uznanie Bóstwa, miasto zgromadzić albo utrzymać“.

5. Kiedy zaś, koczownicze przedtem plemiona, w nowe wzrosły z czasem narody, kiedy na mądrych oparły się prawach i zaczęły uprawiać umiejętności i sztuki, czy może wtenczas z wszelkiej wyzuły się religii, może zapomniały o Bogu, albo się go wyrzekły? Całkiem przeciwnie świadczy historya. Im bardziej nowe ludy, wzrastały w potęgę i dobrobyt, tem wspanialsze budowały Mu świątynie, tem okazalszą i świetniejszą oddawały Mu cześć; im bardziej postępowały w umiejętnościach, im znakomitsze między nimi powstawały geniusze, tem bardziej utwierdzano się w religii, tem czystszą i pewniejszą podawano o Bogu naukę. Ich poeci nie mają nic wznioślejszego, nad opiewanie Bóstwa, filozofowie nad wykłady o Jego naturze i przymiotach; artyści wiekopomną uzyskują sławę, uzmysławianiem go w posągach i obrazach; prawodawcy przepisują dlań cześć, a zwycięscy bohaterowie swemi trofeami zdobią Jego ołtarze.

Mniejsza o to, że Grecy nazywają go Zeusem, Rzymianie Jowiszem, Żydzi Jehową, Germanie Odynem, Słowianie Światowidem, Indyanie Bramą lub Buddą itd.; jedni poświęcają mu gaje, inni strumienie i rzeki, inni wspaniałe kościoły, ci szlachetniejszym, inni mniej rozumnym oddają mu cześć sposobem; ale to daleko ważniejsze, że historya żadnego nie znajduje narodu, któryby nie hołdował Bóstwu, tak, iż kiedy Protagoras odważył się w Atenach we wątpliwość tylko podawać, czy Bóg istnieje? cóż z nim zrobiono? pisma jego spalono natychmiast na rynku, a jego na wygnanie skazano. Oto dowód niezachwianej wiary w omawianą prawdę!

6. A nie tylko było to przekonaniem samego gminu, lecz zarówno najznakomitszych ich mędrców. Tales z Miletu nazywa Boga myślą, t. j. duchem, który z wody czyli chaosu wszechświat uczynił. Pytagoras mówi, że Bóg jest duchem, obejmującym wszystkie części świata; Anaxagoras nazywa Go myślą nieskończoną; Arystoteles głębokie daje o istnieniu Boga dowody; Plato tak wzniosłe prawdy o Nim uczy, że dzieła jego służyły za most do przejścia z pogaństwa na chrystyanizm; Cicero określa Bostwo, jako: wolnego ducha, oddzielonego od wszystkiego, co śmiertelne, o wszystkiem wiedzącego i wszystko w działanie wprawiającego. (De Consolatione). Seneca uczy wyraźnie: „Iż Bóstwo istnieje, między innymi dowodami poznajemy z tego, iż wszystkim ludziom wrodzone jest uznanie Bóstwa, i nigdy żadnego narodu tak rozpasanego i nieobyczajnego nie było, aby w Bóstwo nie wierzył“ [1]).

„Któż przeto nie będzie wynosił pochwałami

[1]) Adversus Colotem Epicureum.

[1]) Epistola 117.

mądrości pogan — powiada Aelianus[1]) — skoro nikt z nich w zaprzeczenie Boga nie popadł, ani nie wątpił nawet, że Bóstwo istnieje i nami rządzi. Nikt, mówię, ani Indyjczyk, ani Celta, ani Egipcyanin tak bezbożnych myśli do głowy nie przypuścił; wszyscy bowiem ci, lubo poganie, uznają, iż istnieje Bóstwo i nami się opiekuje, i przyszłe rzeczy przepowiedzieć może".

„Ponieważ więc nie z ustanowienia — konkluduje Cycero[2]) — ani ze zwyczaju, ani z prawa ludzkiego jest uznanie Bóstwa i trwa u wszystkich aż do jednego silna pod tym względem zgoda, rozumieć potrzeba koniecznie, że jest Bóstwo, albowiem wlane w naturę naszą, albo raczej wrodzone uznanie tegoż mamy. Na co zaś natura wszystkich się zgadza, konieczną jest rzeczą, aby to było prawdą. Wyznać więc musimy, że Bóstwo istnieje".

7. Nareszcie co się tyczy w nowszych czasach odkrytych ludów, utrzymywano o niektórych, bardzo upadłych moralnie, że żadnego nawet pojęcia o Bóstwie nie mają. Wnet jednakże twierdzenia te okazały się fałszywemi, pochodzącemi z zbyt niedokładnego poznania obyczajów owych ludzi, z nieznajomości ich języka, lub wreszcie stąd, że nie tak łatwo przed kimkolwiek się otwierają. Kiedy wszakże dostali się tam inni, zwłaszcza misyonarze, kiedy u nich zamieszkali, okazali im swoją przychylność, wyuczyli się ich mowy, znaleziono u nich wnet i świątynie choćby ubogie i podziemne, i kapłanów i ofiary i niewątpliwą cześć Bóstwa.

Do takich należeli Australczycy, a przecież wykazano, że uznają Bóstwo pod nazwiskiem Tane, t. j. ojciec, i Oro albo Mattin, t. j. Syn albo krwawy, oraz Taroa ptak albo duch, że Tane wszystko stworzył, że istnieje przyszłe życie itd. (Cantu).

Tak samo Grenlandczycy utrzymują, że Bóg stworzył pierwszego człowieka Kallaka, że z jego palca wyszła pierwsza kobieta, że świat wodą zalany został, z uratowaniem jednego tylko człowieka. (Cantu).

O mieszkańcach wysp morza południowego, pisze Forszter: „Wierzą w jedno najwyższe Bóstwo, panuje tu przekonanie, że Istota Najwyższa była twórcą wszystkich istot"".

„Nawet murzyni, tak nisko stojący — powiada Holzwarth[3]) — wiedzą o Najwyższej Istocie, Stwórcy wszech rzeczy i modlą się do Niego. — Jeszcze niżej stoi ludność Złotego wybrzeża, a przecież wierzy, iż nad obłokami zasiada Ojciec wszechmocny i najlepszy, który stworzył ziemię, drzewa itd. — Indyanie amerykańscy wyznają Wielkiego Ducha, najwyższego i najdoskonalszego, którego wzrok przenika kamień i drzewo, którego siłą ludzie żyją, od którego woli zależą[4]). Słowem, faktem jest historycznym, że

[1]) Variae Hist. l. 2. c. 31.
[2]) De nat. Deor. l. 1. n. 17.
[3]) Hist. powszechna t. I. str. 48.
[4]) tamże, t. V, str. 524.

nie ma ludu, któryby istnienia Bóstwa nie uznawał, jak się z historyi każdego z nich przekonujemy".

Choćby tylko cześć oddawano słońcu i gwiazdom, drzewom, zwierzętom, wcale to naszej prawdy nie obala, gdyż jak już dawno zauważył Cycero[1]): „ludzie rozmaitym nieraz rzeczom przypisują Bóstwo, bo nie wiedzą, jaki jest Bóg prawdziwy? ale że Bóstwo wyznawać i czcić należy, o tem nie wątpią".

8. Ani to dowodu naszego osłabiać nie może, że wiele narodów wyznawało wielobóstwo; na to bowiem nigdy zgody całego rodzaju ludzkiego nie było, gdyż aż do potopu, przez 2.000 lat, żadnego nie mamy śladu wielobóstwa. Po tem zaś cały naród żydowski zupełnie je potępia, jednego tylko Boga wyznając, a do zgody rodzaju ludzkiego potrzeba, jak powiedzieliżmy wyżej, (n. 2.), aby wszyscy, wszędzie i zawsze tę samą prawdę wyznawali, jakto o istnieniu Boga rzeczywiście wykazaliśmy.

„Patrzcie przeto — woła z podziwem Tyrius Maximus[2]) — lubo ludziom tak trudno na to samo się zgodzić, lubo dla usunięcia wyrzutów sumienia, woleliby byli Bóstwu zaprzeczyć, lubo do tego nieraz przez bezbożnych byli kuszeni, lubo różne mieli prawa, obyczaje, język, sposób życia, lubo jeden drugiego nienawidził, wśród tej jednakże niezgody zdań i zapatrywań, widzimy wszystkich jednomyślnie uznających: że jest Bóg, Król i Ojciec wszystkich i wielu jego synów razem z Nim królujących. To mówi Greczyn i barbarzyniec, mieszkaniec stałego lądu i wysp, uczony i prostak. „Jakichże jaśniejszych mamy szukać dowodów?,

„Cóż jest — mówi Cycero — dla czego mielibyśmy wątpić, jakoby to, co się wykazało, było najprawdziwszą rzeczą, jeżeli rozum tak pokazuje, jeżeli fakta, narody i pokolenia, jeżeli Grecy i barbarzyńcy, jeżeli nasi także przodkowie, jeżeli nakoniec zawsze tak wyznawano, jeżeli najwyżsi filozofowie, poeci, mężowie najmędrsi, co państwa pozakładali, co powznosili miasta[3]). Czyż będziemy czekali, aż zwierzęta do nas przemówią a powagą zgody rodzaju ludzkiego się nie zadowolimy?"

„Jeśli ci przeto tak wielka powaga nie wystarcza — kończy Balmes — oprzej się o grób, i rozważ: kto ty jesteś, co się odważasz całemu rodzajowi ludzkiemu sprzeciwiać?"

Takie to oczywiste mamy dowody prawd naszej św. wiary, lubo tylko jeden z nich mogliśmy tu podać, inne przedłożymy w następnych rozprawach.

[1]) De nat. Deor. 4 et 5.
[2]) Dissert. c. 10.
[3]) De Divinat. I. c. 39.
[4]) O sposobach poznania prawdy.

*

Smutne koleje życia.

(Zdarzenie prawdziwe).

(Dokończenie).

Jednego poranku przyszedł odźwierny do łóżka mego o świcie i oznajmił mi, że ajent policyjny chce ze mną mówić. Przyniósł mi wiadomość pożądaną, za co otrzymał sowitą nagrodę. Dnia poprzedniego dowiedział się przez kuryera, że mieszkają we Florencyi pod przybranem nazwiskiem.

Tego samego dnia o jedenastej godzinie miałem paszport gotowy, a o dwunastej na skrzydłach zemsty, spieszyłem do Florencyi.

Pominę szczegóły całorocznego poszukiwania tej nieszczęsnej pary po każdem niemal mieście Europy. Zgubiłem trop, choć trzymałem się go z zaciekłością krwiożerczego psa — lecz szczęście nie służyło mi. Raz tylko co miałem go schwytać w Baden-Baden — ale wyjechał rano, po znacznej stracie przy kartach. Ja przybyłem na wieczór, dowiedziałem się o nim i byłbym go dopędził, gdyby mój powóz nie był się przewrócił, a potem skutkiem potłuczenia musiałem cały tydzień zostać w lichéj gospodzie niemieckiej i kląłem mój los, wściekałem się dla tej straty czasu.

Tropu straconego nigdy nie odszukałem; przez dwa lata tułałem się zrozpaczony, — odszukać ich nie mogłem. Wycieńczony na ciele i umyśle, skołatany okropnie, wróciłem do Anglii. Kuzynka moja, pani B., u której pierwszy raz spotkaliśmy się, była mi bardzo przychylną; gdyby nie ona, to zdaje mi się, że już dawno byłbym umarł ze zmartwienia.

Tu stanął, jak gdyby znużony — wypił maku z wodą i ciągnął dalej.

— Teraz przychodzę do tego, co ci dotąd umyślnie odkładałem. Ajent który zarządza mojemi dobrami jest w mieście. Wczoraj poszedłem do niego, by mu dać nowe rozporządzenia, a ponieważ w ciągu dnia nie byłem na przechadzce, wolałem iść do domu. Rozstałem się z nim o jedenastej w nocy. Na dworze panował mróz przejmujący i podał drobny szron. Ledwo kto szedł po pustych ulicach; owinąłem w surdut dolną część twarzy, aby ją zasłonić przed mrozem.

Idąc krętemi drogami, miejsca zwanego Seven Dials, spostrzegłem niewiastę licho ubraną, zbliżającą się wolno ku mnie. Przygotowałem sobie pieniądze, aby jej dać, bo po jej słabości widziałem że albo głodna, albo chora. Zanim jednak zdołałem jej te pieniądze wręczyć, prosiła mnie bardzo pokornym i uniżonym tonem prośby, o jałmużnę. Ton tego głosu, choć ledwo głośniejszy od szeptania, przejął mnie lodowym dreszczem. Zdało mi się, że go pamiętałem; straszna myśl — to nie podobna! — ale gdy włożyłem pieniądze w jej zimną, drżącą dłoń, przyjrzałem się dokładnie jej twarzy. Oczy jej były wlepione w ziemię i nie spotkały się z mojemi. Rysy twarzy te same, ale wyraz i piękność jak zmienione! To była moja ż o n a!...

Oniemiałem — przeraziłem się na chwilkę. Ona czem prędzej oddaliła się. i nie poznała mnie na szczęście. Ale ten łotr musi być niedaleko, bo ona widocznie dla n i e g o po ulicach jałmużny żebrze. Szedłem za nią cichym krokiem, jak tygrys za swoją ofiarą, zanim uczyni ostatni skok. Zawlekła się do obok stojącej restauracyi — śledziłem ją przez przymknięte drzwi. Kupiła wina i chleba, schowała je pod swoją cienką chustkę i oddaliła się pospiesznie. Szedłem za nią przez kilka ulic, zatrzymała się u drzwi lichego domu i weszła; ani się obejrzała, ani zamkła drzwi. Słyszałem jak z trudnością wgrzebała się na drugie piętro. Słuchałem pilnie gdzie wejdzie, i w jednym momencie wbiegłem na schody. Słyszałem ten sam słodko żałośny głos, który przed chwilą jak dźwięki dzwonu pogrzebowego odbił się o moje uszy; słyszałem też ochrypły i zacichły głos tego wcielonego szatana C. Dłużej wytrzymać nie mogłem; otworzyłem drzwi i stanąłem przed nimi. Teraz miała moja zemsta się nasycić i nasyciła się. Mojej zemście stało się zadosyć, ale nie z mojej ręki.

Na łóżku leżała brudna i nędzna postać niegodziwego C., napiętnowana śmiercią na twarzy, okropnie wycieńczonej, w ubraniu podartem, zgniłem i cuchnącem. Ona klęczała przy łóżku i podawała mu chleb umoczony w winie, który on chciwie pożerał. Spojrzeli na mnie, gdy wszedłem; Oczy jego rozwarły się i błysnęły przeraźliwie i zamknęły się, jakby chciał na wieki zasłonić się przed zatrważającem widmem; twarz wykrzywiła się konwulsyjnie, usta zawarły się i pan C. opadł na pościel trupem.

Ona jak tylko mnie zobaczyła, straciła przytomność. Zawezwałem pomocy, bo nie byłem w stanie dotknąć się jej, lub podnieść ją z ziemi, lecz poczułem gwałtowne bicie serca, które dało mi poznać, że moja miłośc dla niej, jeszcze nie zupełnie obumarła.

Gospodyni przybiegła; na prędce wyjaśniłem, że ten człowiek skonał gdy ja wszedłem, a nieszczęśliwa kobieta omdlała; zmusiłem ją do przyjęcia mojej portmonetki, kazałem jej zrobić co potrzeba, i biegłem do domu, jakby sto furyj moje serce rozdzierało.

Napił się jeszcze maku z wodą, obtarł pot z czoła i ciągnął dalej:

— Wczoraj i dziś rano stoczyłem z sobą ciężką walkę, ale szczęśliwie zwyciężyłem. O zemście teraz nie myślę — ani jej pragnę. Złośnik ten nie żyje, lecz ona nie może umrzeć z głodu. Wyrządzisz mi wielką przysługę, jeżeli ją zaopatrzysz. Zabierz te pieniądze — one wystarczą na jej teraźniejsze potrzeby. Mojemu włodarzowi każę jej dać utrzymanie, ale widzieć się z nią nie chcę i nigdy nie mogę.

Dał mi jej adres spiesznie na kartce napisany, a ja oddaliłem się w posłannictwie miłosiernem.

Znalazłem tę nieszczęśliwą kobietę w łóżku. Litościwa gospodyni służyła jej starannie i wzięła ją do swej stancyi. Wycierpiała dużo; ale teraz

była spokojną, choć zmęczona. Wiedziałem że kiedyś była nadzwyczaj urodziwa, ale teraz blada i wycieńczona i już nie na długo dla tego świata. Wyjaśniłem cel mojego przybycia tak zwięźle i delikatnie, jak się dało, bo nie chciałem dodawać bolu jej sercu, które i tak było niem przepełnione.

I to mój mąż, Fryderyk, czyni to wszystko dla mnie występnej jego żony! Ach zgrzeszyłam ciężko, może za ciężko, aby odpokutować — ale jednak nie upadłam tak głęboko jak on sądzi. Powiedz mu, że padłam ofiarą zdrady, że nie myślałam o występku; — co potem nastąpiło, było szałem, wściekłościa, rozpaczą*), że od tego czasu ciągle mieszkałam w tym mizernym domu i wzgardzona gorzkiemi łzami pokuty starałam się niebo przebłagać. Powiedz mu, że gdy wczoraj wracałam do domu bez centa, bo nie miałam zarobku, spotkałam nędznego towarzysza i sprawcę mojego występku umierającego na ulicy. Poznał mnie odrazu i prosił rozpaczliwie, aby mu dać jeść i pod dach go gdzie przytulić; nie jadł nic przez dwa dni, a całymi tygodniami sypiał pod gołym niebem. Chociaż mnie tak bardzo skrzywdził, to jednak nie mogłam odmówić jego prośbie. Wzięłam go do mego pomieszkania i wybiegłam na ulicę, aby postarać się o trochę żywności dla niego. Być może że źle zrobiłam, ale nie mogłam patrzeć, jak on z głodu umierał, i nic nie uczynić, aby mu pomódz. Przez te siedm lat, jak męża opuściłam, wycierpiałam więcej niż mój język może wypowiedzieć; ale mój nieszczęśliwy upadek zawdzięczam jedynie zaniedbaniu obowiązków religijnych. Zły duch najbardziej zajmuje się nami, gdy naszego Boga zaniedbamy — gdy o Nim zapomnimy. Ale Bóg był dla mnie miłosierny nad wszelką miarę — dał mi łaskę, że niezwłocznie powróciłam do Niego, i życiem pokuty zmyłam mój grzech okropny. Więcej teraz sobie nie życzę, tylko przebaczenia ze strony mego męża — a potem umrzeć jeżeli taka wola Boża. Często gdy nocy były najzimniejsze, całemi godzinami chodziłam po ulicy gdzie mój mąż mieszka, gdzie niestety, tyle niewinnych i szczęśliwych dni spędziłam — i krwawe łzy wylewałam. Często o północy klęczałam na kamiennych schodach jego domu i modliłam się do Nieba dla mnie o przebaczenie, a dla niego o błogosławieństwo. Powiedz mu to wszystko, niech wie, że jeżeli moja wina była wielką, to mój żal i pokuta także wielkie i trwałe były.

Każdy czytelnik niezawodnie ma współczucie dla jej uciśnionego i skruszonego serca.

---

*) Pokazało się później, że to prawda. Pani H. porzuciła pana C. w Dover, i wróciła do Londynu. C. sam pojechał do Paryża, gdzie jakąś bezmyślną dziewczynę nakłonił, aby mu w podróży towarzyszyła. Niebawem porzucił ją i wrócił do Anglii; ostatni cent swego majątku stracił przy kartach· stał się przewodnikiem jakiegoż zakładu podłego; został wypędzony za oszukaństwo i zarozumiałość, upadał od stopnia do stopnia, aż ta którą zrujnował i zdradził, znalazła go na ulicy, umierającego z głodu.

Tego dnia dałem ją przenieść do wygodnego pomieszkania, gdzie miała wszystko, co tylko jej niebezpieczna choroba wymagała. Na jej żądanie posłałem po jej spowiednika, któremu spowiadała się przed siedmiu laty. Odwiedzał ją codziennie. Ja także przybywałem do niej, gdy mogłem, ale za każdą razą spostrzegłem, że śmierć coraz bardziej się zbliża.

Po dwóch tygodniach otrzymałem wiadomość, że umiera i chce się ze mną widzieć. Zaraz pospieszyłem do niej. Widziałem, że szybko opadała na siłach. Puls miała nadzwyczaj słaby, oddech krótki i prędki, twarz przybierała barwę popielatą, ale miała wyraz spokojny i cichy. Z rana tego dnia, z przykładną pobożnością przyjęła Sakramenta święte.

— Posłałam po ciebie Ojcze duchowny, rzekła z przyjemnym uśmiechem, — aby ci po raz ostatni podziękować za twoje dobrodziejstwo. Powiedz memu mężowi, że ostatnim tchem życia mego, błogosławię go i modlę się za niego.

— Możebyś chciała zobaczyć się z nim, zanim umrzesz?

— Ach — odrzekła z rumieńcem na twarzy — to byłoby za wiele szczęścia dla mnie, jestem niegodna, aby jeszcze się z nim widzieć, a jednak umierałabym tak szczęśliwie, gdybym go jeszcze raz zobaczyła, gdybym z jego własnych ust usłyszała, że mi przebacza.

Wskoczyłem na wóz i kazałem woźnicy pędzić, co koń wyskoczy. Na szczeście znalazłem pana H. w domu.

— Mój przyjacielu — rzekłem prędko — żona twoja umiera.

— I cóż z tego? — odparł surowo.

Już poprzednio opowiedziałem mu wszystko, co jego żona powiedzieć kazała a wiadomością tą bardzo się wzruszył.

— Mój kochany panie — odrzekłem — jestem przekonany, że nie odmówisz jej ostatniej prośbie. Ona chce się widzieć z tobą zanim umrze i od ciebie przebaczenie otrzymać.

Rzucił się na krzesło i widziałem, że był pogrążony w niewypowiedzianej gorzkości żalu. — Pójdź — rzekł, biorąc mnie za rękę — walka skończona. Przebaczam j-j szczerze, bo i mnie trzeba przebaczenia wielu rzeczy.

— Wsiedliśmy do powozu i z tą samą chyżością, co poprzednio, wróciliśmy.

Przy drzwiach spotkaliśmy gospodynię domu we łzach, niecierpliwie nas wyglądającą. Nalegał, abym mu towarzyszył, bo obawiał się, że sam nie będzie miał odwagi spotkać się z nią.

Weszliśmy razem. Pokrzywdzony mąż i pokutująca żona objęli się jednym przedłużonym uściskiem. Na taki widok, aniołowie w niebie mogliby się cieszyć.

— Fryderyku — wyszeptała słabo — przebaczasz mi?

— To wszystko stało się z mojej przyczyny, moja droga, odrzekł. Jakeśmy się pierwszy raz spo-

tkali, tak teraz rozstańmy się: niech wszystko idzie w zapomnienie.

— Patrzała na niego z nieopisanym wyrazem miłości i wdzięczności i z tem wejrzeniem szczęścia skonała. Pochowana była niepokaźnie, a tylko jej mąż i ja byliśmy na pogrzebie.

W dzień po pogrzebie z rana, przybiegł do mnie jego służący z prośbą, abym z nim się rozmówił. Gdy wszedł, oświadczył mi, że jego pan wyszedł późno wczoraj z wieczora, że z powrotem przywieźli go w powozie przemokłego i ledwo przytomnego, Położył się i przyzwał lekarza, który mu nieco ulżył; — jeżeli to możebne, mam przybyć bez zwłoki.

Pospieszyłem do niego pod wrażeniem, że chciał samobójstwo popełnić. Ale na szczęście rzecz miała się inaczej. Znalazłem go w łóżku smutnie zmienionego — widocznie gorączka poczęła go opanowywać.

— Mój kochany przyjacielu — rzekł — byłem bardzo głupim, ale to nie moja wina. Czułem się tak nędznie wczoraj na wieczór, tak mi było tęskno za moją żoną, że nawet powietrza w stancyi znieść nie mogłem. Wybiegłem na ulicę, szedłem nie wiedząc sam dokąd; — zdało mi się, że głowa mi pęknie — naraz znalazłem się przy jej grobie. Myślałem długo i gorżko o jej niezrównanej doskonałości i miłości i o jej następnym żalu. Może posądzisz mnie o słabość, ale wtenczas zdało mi się, że musi być życie przyszłe i że jej duch, który przed chwilą ulotnił się, wtedy spoglądał na mnie ze swego miejsca spokojem szczęścia. Poczułem w sobie coś takiego, czemu nie mógłem się oprzeć; było to coś, co nie zawisło od mego rozumowania, było to niezwalczone przekonanie serca mego, że jest Bóg, życie przyszłe, i wiara, która ma nas zbawić. Płakałem długo i modliłem się— pierwszy raz po długich latach — na jej grobie, do tego Wiecznego Ducha Bożego, aby mi pomógł i wskazał, co mam czynić. Niezawodnie usnąłem albo przytomność straciłem, bo następnego rana stróż cmentarny znalazł mię nieprzytomnego i przemokłego od deszczu, który przez noc padał. Polegam na twojej przyjaźni; jestem przekonany, że przyjdziesz mi w pomoc.

Odrzekłem, że pomódz mu byłoby dla mnie największą przyjemnością, a jeżeli będzie wytrwały, to dawniejsze troski mogą zamienić się na spokój i szczęście. „Niestety ja mam obawę, że tak nie będzie, z każdym momentem czuję, że choroba wzmaga się. To może będzie moja ostatnia. Zdrowie moje jest zniszczone, złamane; obawiam się, że nie zostało mi czasu, ani siły na taką pracę umysłową, jakiej ta rzecz wymaga“.

— Nie polegaj zbytecznie na własnych siłach, na swoim rozumie; tylko módl się szczerze do Boga, którego teraz uznajesz jako swego Stwórcę, aby cię wsparł swoją łaską i miłosierdziem.

— Do widzenia na teraz, — rzekł, ściskając moją rękę. — Jeszcze muszę ci wyznać, choć mnie wstyd, że moje niadowiarstwo już dawno zrobiło ze mnie nieszczęśliwego człowieka, zatruło mi każdą uciechę, w moich ciężkich troskach dawało mi lichą i nędzną pociechę, a teraz w mojej największej potrzebie opuściło mnie zupełnie. Módl się za mną i odwidź mnie wnet.

Modliłem się za niego, i liczni ubodzy, których wsparł hojną jałmużną, modlili się też; ich modlitwy są wszechmocne u Boga.

Przez trzy tygodnie cierpiał na zapalenie mózgu, a cierpienia jego były okropne. Całymi dniami obsypywał zmarłego C. przeraźliwemi przekleństwy, przeklinając i siebie, że został jego narzędziem i ofiarą a przytem miotał bluźnierstwa tak okropne, że trudno nawet o nich myśleć. Krzyczał z przerażenia, że upiór zmarłego C. stał przy łóżku i urągał się z niego wzgardliwie. Noc po nocy wygadywał na obraz przedstawiony jego schorzałemu umysłowi, i zarzucał mu niezliczone krzywdy; zarzucał mu zniszczenie wiary w Boga, zatrucie spokoju, zniszczenie szczęścia. Drżał, ręce załamywał, i krzyczał żałośnie, że nie chce i nie będzie umierał, że teraz jest przekonany, że istnieje piekło i że swoją głupotą sam się potępił.

Lecz modlitwy ubogich zwyciężyły. Okazał miłosierdzie i przebaczenie dla swej żony, dla niego Bóg też miał miłosierdzie. Z choroby tej wyszedł, ale kaleką na zawsze; stracił władzę w ręku i nogach skutkiem przemoknięcia owej nocy na grobie swojej żony. Jednakowoż był bardzo cierpliwy i spokojny i wyrażał swoją wdzięczność za to, że odzyskał rozum. Zabrał się szczerze do pracy; czytał, wypytywał się, rozmyślał, modlił się i przeczytał całe Pismo św. z natężoną uwagą.

— Jestem przekonany — rzekł — że to jest Słowo Boże. Jestem przekonany, że wiara chrześciańska powstała z woli Bożej — jest dziełem Syna Bożego. Żadna nie dąży tyle do oczyszczenia umysłu, do zwalczenia namiętności, do uszczęśliwienia ludzi. Jej zasady surowe, wzniosłe i nakazujące zaprzanie się siebie, powiadają mi, że ona musi pochodzić od Boga; najważniejszym dowodem jej Boskości jest ta okoliczność, że tak wielka i utalentowana część ludzkości przyjęła ją. Teraz szczerze wyznaję, że jestem chrześcianinem, choć nader niegodnym. Zostaje mi jeszcze zastanowić się, którą z pomiędzy licznych wyznań chrześciaństwa mam obrać. — W jego bibliotece znajdowało się dużo dzieł polemicznych czyli spornych. Te czytał z zapałem i za parę tygodni objawił mi zamiar zostania katolikiem. Zapytałem go o przyczyny.

— Przyczyny te — odrzekł — nie są liczne, ale zasadnicze. Kościół taki, który ma być dziełem Boga, musi przedewszystkiem być j e d e n, a Kościół katolicki nigdy się nie zmienił. Dalej, musi posiadać ś w i ę t o ś ć n i e o g r a n i c z o n ą, a katolicki jest matką wszystkich świętych; nigdy nie odżałuję mojej ślepoty, że tak późno spostrzegłem nieskalaną czystość jego nauki. Dalej, musi być k a t o l i c k i, t. j. Kościołem wszystkich narodów — wasz jest nim z natury; żaden inny nie może sobie tego szlachetnego imienia przywłaszczyć. Wreszcie musi być a p o s t o l s k i; pochodzić od Apostołów w niezłamanym łańcuchu następ-

stwa biskupów i kapłanów. Każdy inny Kościół powstał za późno, aby rościć sobie prawo do tej nazwy; niektóre kilkaset, inne kilkanaście set lat za późno powstały, abym miał pragnąć połączenia z nimi. Nadto, żaden Kościół, mojem zdaniem, nie ma takich środków na uszczęśliwienie człowieka, jakie ma Kościół katolicki, który zawsze jest dobrą i czujną matką dla żyjącego człowieka, a nawet, gdy umrze, to i wtenczas przy modlitwach i ofiarach pamięta o swojem dziecku. Jestem katolikiem w sercu, uczyń mnie nim w rzeczywistości.

Żądaniu jego stało się zadosyć. Przyjąłem go na łono Kościoła katolickiego. Stał się pokornym, skruszonym i pobożnym jego członkiem. Aby poznać Kościół prawdziwy, wysilił cały swój potężny umysł. Modlił się do tego Boga, który zawsze wysłucha pokornej i ufnej modlitwy; ostatnie dni jego były pełne spokoju chrześciańskiego, pogody i radości. Jego ostatniej godziny nigdy nie zapomnę; było to odejście duszy obmytej pokutą, wzmocnionej wiarą, ożywionej nadzieją, pałającej miłością. Przez ostatnie pobożne przyjęcie Sakramentów ś., nabrał siły i odwagi przeciw postrachowi i przerażeniu śmierci. Prosił Boga, aby jego życie, jego cierpienia, ta sprawiedliwość, która go tak ciężko karała — aby to wszystko było na przestrogę tym, którzy podobnie jak on, napili się trucizny niedowiarstwa. Modlił się, aby to samo miłosierdzie, które jego spotkało, im także było użyczone; aby nigdy nie spotkała ich ta najokropniejsza kara Boża, t. j. zakończenie życia w niedowiarstwie. Oby Bóg nie dopuścił im przekonać się dopiero w ogniu piekielnym, że jest Bóg.

Taki był jego koniec. Niech teraz niedowiarek zastanowi się i rozważy, jaki będzie jego koniec!

Koniec. X.

Głos z prowincyi.

S..... d. 23 stycznia 1890.

W miejscowości z której to piszemy, słychać smutne głosy dolatujące z powiatów: lubaczowskiego, cieszanowskiego, rawskiego, jaworowskiego. Jest to przestrzeń dość poważna, sądzimy zatem, że was to żywo obchodzić będzie, co się dzieje u nas obecnie i co się stać musi w przyszłości najbliższej. Zaczniemy więc od strzech słomianych, czyli co słychać na wsi, a skończymy na tem, co we dworze, czyli jak to powiadają u szlachcica.

Wiadomo już, że wymienione tu powiaty należą do owych 70ciu, które susza tegoroczna do szczętu spaliła. W konsekwencyi dalszej, wszystko bydło i konie po wsiach wygłodzone już podczas zielonej a właściwie żadnej paszy w lecie, wygląda obecnie aż litość bierze, a brak paszy na utrzymanie inwentarza przez zimę, dochodzi do tego stopnia, że wszelki przychowek od lat 3, cieliczki, byczki, owce i nierogaciznę prawie już co do nogi wybito, a jeżeli ma być mowa o kupieniu za pieniądze, to za 5 fl. można dostać jałówkę 3-letnią a na jednym z ostatnich targów sprzedano 200 koni po 2 fl. Do tego zapanowało takie ogłupienie po wsiach i lud tak nikomu wierzyć nie chce, że zwierzchności gminne z największą bojaźnią przystępują do każdej czynności, z jakiejkolwiekbądź góry nakazanej, wskutek czego spadają ogromne klęski na całe gminy. Wójtowie otrzymali nakaz, ażeby posprawiali inne pieczęcie ku wydawaniu paszportów bydlęcych, w razie przeciwnym rewizorowi bydła, nie wolno wydać paszportu na targ. Pieczęci tych jednak nie sprawiają, bydła na targ prowadzić nie można, a ponieważ sprzedać je trzeba koniecznie, więc żydki kupują takowe za bezcen i dziś możemy się tu bardzo tanio odżywiać, bo mamy kilo mięsa po 10 ct. co godzina z innej bramy. W jednej wsi wybito do dnia dzisiejszego bydła rogatego 800 sztuk, oprócz świń i koni. Ale co będzie na wiosnę, niedaleka przyszłość okaże. Każdy zbywszy większą połowę inwentarza za bezcen, jeśli doprowadzi na trawę drugą połowę mniejszą, to chyba trzymającą się zaledwo w skórze i kości. Nietylko, że nie będzie miał czem i z czego zrobić kilkanaście fur oborniku pod ziemniaki i kapustę, że skutkiem braku tego i wyniszczenia inwentarza najmniej przez 6 lat stajnie i stodoły pustkami przyświecać będą, ale nadto wiosenne obrobienie w polu przez wyprzedanie koni do połowy, a liche utrzymanie pozostałych, bardzo nędznie wypaść musi Najmocniej ucierpią na tem ci, którzy wypożyczanymi i wyproszonymi końmi pola swoje zwykle obrabiają, o przynajęciu zaś pługów i zaprzęgów po dworach i mowy być nie może. Myliliby się mocno ci, którzyby myśleli, że klęska tegoroczna jest dla okolicy naszej nowością; przeciwnie, cała wyżej wspomniana okolica przyzwyczajona już jest podobnej katastrofie w oczy zazierać, ale cóżby pomogły zresztą nasze skargi, chyba tylko tyle, iżby zaczerniły więcej bibuły. I dziś odzywamy się tylko dlatego, że gdybyśmy siedzieli cicho pośród klangoru ogólnego, wyglądałoby to co najmniej małodusznie, zwłaszcza iż wyczytujemy w gazecie, że jakieś tysiące mają iść i do naszego powiatu. Witamy je z ogromnem uniesieniem, lecz to zupełnie nic nie przeszkadza nietylko nie wierzyć, ale nadto przypuścić pewnik, że te 5000 na cały powiat tyle mu pomogą, ile umarłemu kadzidło. Krótki rachunek i proste abecadło: w każdym niemal powiecie 70 gmin a w gminie 300 gospodarzy najmniej, zatem 21.000, z tych przesadnie 11.000 takich, którzyby może jednorocznej klęsce własnemi zasobami oprzeć się zdołali, pozostanie nam dość poważna cyfr bo 10.000 gospodarzy dla którychto gdyby nie 5cio ale nawet 20.000 zapomoga rzuconą została każdy przyzna, że jest ona niczem więcej, chyba tylko ironią losu!

Tego roku ludność cała zniszczona klęską elementarną nie może mieć już bagatelniejszych i skromniejszych żądań, aniżeli dbania o stosunki do tej minimalnie najniższej wysokości, aby temu płacącemu plebsowi, tej strzyż dającej owczarni, tej do zaprawy potrzebnej cytrynie, tyle przynajmniej pozostawiono kropel żywotnych — iżby w danym razie mogła czoło stawić chociażby tylko 1szo razowej klęsce elementarnej! Że upadek rolników w kraju nie od tegorocznej klęski się datuje, dowodzi wydana już przed

paru laty znana ogólnie broszura p. Szczepanowskiego: „*O nędzy w Galicyi*“.

Dodatki gminne, powiatowe, krajowe, konsumpcyjne, podatki państwowe, opłaty spadkowe, rekursa, opłaty adwokatów, notarjuszy, lekarzy i aptekarzy, itd. wszystko to w kulminacyjnych dozach zadawane, od dawna już podkopywało i rujnowało naszego rolnika. Przy właścicielach mniejszych posiadłości, należy brać jeszcze w rachunek wyderkafy pisarzy gminnych, djaków, woźnych, sekwestratorów i całej gawiedzi małomiejskich darmozjadów, po wszystkich zaułkach każdej mieściny na wyzyskanie ich czyhających i po wsiach plądrujących. Przy rolnikach większej posiadłości, oprócz wszystkich powyżej wymienionych ciężarów, zachodzi jeszcze okoliczność zmuszająca wysyłać dzieci dla kształcenia do większych miast, a przy niej system szkolny z nieustaną zmianą książek i rozmaite wtrójnasób wymagania, co z płodów, któremi gospodarstwo oprocentowywać się powinno, w żaden sposób opędzonem być nie może, albowiem koszta te przewyższają o wiele dochody zwykłych 1° wioskowych posiadaczy, zwłaszcza przy nieurodzajach i stagnacyi lat ostatnich. Następstwem tego miliony nibyto na melioracją gospodarstw w bankach pozaciągane, a właściwie na potrzeby bieżące używane. Następstwem dalszym pustkami świecące kilkomilowe przestrzenie zrębów tam, gdzie dotychczas odwieczne stały lasy dla stopy ludzkiej niedostępne. Wycinaniem tych zaoszczędzonych przez ojców naszych borów, zasilała się dotąd i zarobkowała ludność wiejska od dłuższego czasu, a zaratowywała się i potrzeby dotychczasowe opędzała posiadłość większa, komentarzem czego najlepszym pora obecna, gdzie tylko w okolicy naszej w tej chwili co najmniej 2000 morgów lasu pada pod siekierą błogosławionej sytuacyi.

Zaprawdę, niktby nie uwierzył, lecz na miejscu każdy przekonać się może o ile z wyrębywanych tych lasów korzyści przychodzi właścicielowi. O pół mili od stacyi koleji Jarosław-Sokal, w miejscowości gdzie to piszemy, stoi na sprzedaż 200 sągów grabowych i brzozowych. Dla kupujących sągi po miastach są one drogie nie do wierzenia, właścicielowi za sąg grabowy łupany dają guld. aż 2, podczas gdy takowy we Lwowie o mil 8 od nas oddalonym, kosztuje obecnie najmniej guld. 14, a połączeni jesteśmy ze Lwowem koleją, zaś od sągów do stacyi kol. zaledwie ½ mili. Ponieważ dostawa tego sąga do koleji kosztować może najwyżej guld. 2, rąbanie zaś 1 guld., zatem całą różnicę między Lwowem a nami t. j. guld. 9, pochłania taryfa kolejowa, czyli innemi słowy pochłania ona kapitał milionowy z jednej strony właścicieli czyli producentów, z drugiej strony pracę, gdyż na właściciela sągów na podatki i administracyą za las opłacane, na robotnika i za dostawę do kolei — wypada od sąga guld. 5, zaś na taryfę kolejową gld. 9. Ten sam stosunek zachodzi i w przewózce zboża, jakoteż w opłatach osobowych. Koleje zatem nasze galicyjskie, zamiast przyczyniać się do rozwoju handlu i podniesienia bytu rolnictwa, zamiast wywieść zapasy nasze za granicę a przywieźć ztamtąd jaki grosz, obniżają, deprecjonują i tylko na swoją korzyść wywłaszczają nas z produktów; z 2giej zaś strony bezprzykładnie niższą taryfą po nad głowy i po pod spichrze nasze, jak gdyby nam przedrzeźniając przewożą obecnie zboża z Rumunii, Besarabii i Rosyi i wszystkie targi zagraniczne niemi zalewają. Oto fakt świeży: sąsiad nasz ubiegłej wiosny miał na sprzedaż wagon grochu w Rawie ruskiej, dla zapłacenia ciążącego podatku. Przyjechawszy do Rawy pokręcił się parę godzin i nikt takowego kupić nie chciał. W tem zabłysła mu gwiazda zbawienna; nadbiega żydek z oznajmieniem, że jest kupiec, a mianowicie taki, który będąc w posiadaniu bolety na wagon zboża rosyjskiego o daleko niższej taryfie przewozowej, ofiarować mógł cenę taką — która w istocie sprzedaż i zapłacenie podatków umożliwiła. Perspektywa przeto jasna; u posiadłości mniejszych zarobek przy lasach wnet się już ukończy i to równocześnie prawie z funduszami, które u właścicieli większych, na potrzeby bieżące i na częściowe zaległości rat bankowych już się ulotniły o tyle, że z bardzo małymi wyjątkami fundusze indemnizacyi prop. stanowią ostateczną klamkę ratunkową. Pośród takich błogich okoliczności, mimowoli nasuwa się pytanie a cóż będzie dalej?

Wprawdzie o zniesieniu wysokich taryf kolejowych bardzo wiele mówią i piszą, ale nim to nastąpi wyczerpią się wszystkie żywotne siły nasze bezpowrotnie dla kraju i tylko na korzyść milionowych akcyonaryuszów i rozlicznych dyrekcyj, pensjami 20sto kilkotysiącznemi z piersi naszych karmionych. Duszność atmosfery kraju naszego rolniczego, uwidoczniła się wreszcie, skoro wskazówka barometru uznała za stosowne, spaść na 1,200,000 zapomogi, naturalnie rozdać się mającej między ludność posiadłości mniejszych. Mówić, upominać się, przedstawiać o takichże samych stosunkach, bo w tej samej atmosferze żyjących właścicieli posiadłości większych, byłoby dla nich rzeczą co najmniej zbyteczną, a właściwie mówiąc, niezgodną z fałszywą ich ambicją. Sprawiedliwie zaś realnie stan rzeczy oceniając, gospodarze tabuli krajowej narażeni są na daleko większe straty, klęski i coroczne wydatki uniknąć się niedające, aniżeli posiadłość mniejsza. Sama możność zarobkowania tejże a zawsze na gruncie posiadłości większej, jest donośnym czynnikiem przewagi w stosunku do niemożności zarobkowania posiadłości większych. Dalej, brak zupełny codziennych potrzeb i abstynencya dająca ograniczyć się do zera, która w obozie 2gim jako inteligentnym nietylko zastosować się nie da, ale nadto kształtuje się wręcz przeciwnie, jest najdonośniejszą wskazówką nawołującą każde rozumowanie i pojmowanie jeżli nie do pierwszorzędnego uwzględnienia, to przynajmniej do równouprawnionego

Tymczasem stało się i dzieje zupełnie inaczej. Z przyczyn powyżej nadmienionych wszystkie prawie majątki właścicieli na ojcowiznach osobistą pracą zaangażowanych, jęczą pod ciężarem długów tabularnych, pocieszając się chyba tylko tem, że kapitały funduszów rezerwowych wzrastają na zaszczyt dla Dyrekcyi i na rzekomą korzyść dla pokoleń na Dolinie Jozafata. Dlaczego właściwie w imieniu tych prawdziwych pracowników nie podniósł się dotychczas żaden głos ulgi, albo jakiegokolwiek bądź gatunku subwencyi, trudno przypuścić inaczej, jak tylko w tem zna-

czeniu, aby jak najprędzej ustąpili z horyzontu i przenieśli się najspieszniej w zamorskie krainy afrykańskich kolonistów.

Ani za zadanie ani za przedmiot poczytujemy sobie krytykować czyjekolwiek bądź czynności, zadowalamy się tylko zacytowaniem powyższych faktów i tą skromną uwagą, że w obec tak groźnej sytuacyi jaką jest dzisiejsza, w obec więcej aniżeli prawdopodobieństwa do grożącego z wiosennymi bocianami tyfusu głodowego, dalej w obec nędzy kwotą 1.200,000 zapomogi sankcyonowanej, pozycja w budżecie krajowym 40.000 na fraszki teatralne, wydaje nam się co najmniej zbyt lojalną.

Nie należymy do tych zacofańców, którzyby dla sztandaru Melpomeny, nie chcieli albo nie umieli znaleźć stósownego uznania i gustu, jednakowoż z drugiej strony, mamy tyle zaufania i wiary w szlachetny polot uczuć tej wzniosłéj bogini, że tą razą wyrzekłaby się była z pewnością brzydkiego egoizmu, na korzyść nędzą zagrożonéj ludzkości, a to tem bardziej, że lojalność ta w kierunku bodaj 1^{3} rocznej subwencyi powetować i zastąpić dałaby się bardzo snadnie prawdziwie lojalnem podniesieniem ceny lóż parterowych i pierwszorzędnych z 5 na 10zł. Wolno nam bowiem utrzymywać stanowczo, że niech się bawi kto chce i kto może, ale aby drudzy duchem i materyą daleko silniejsi i zamożniejsi bawić się mieli kosztem bezsilnych i nędznych, tego zaprawdę ani z pojęć o Chrześciańskie ani z wyrozumowań o postępie wysnuć nie możemy. Natomiast grochem o ścianę i echem tylko o skałę są nawoływania do tego, co właściwą do konkurencyi światowéj i do potrzeb naszych może być dźwignią, i jedyną dla rolnictwa naszego pomocą, a mianowicie; wywalczenie powyżej wzmiankowanych taryf kolejowych, zaprowadzenie jak po innych krajach ceł ochronnych, zniesienie dotychczasowych dni targowych, począwszy od poniedziałku do czwartku, i zaprowadzenie w całym kraju 1go dnia jako targowego, gdyż tylko w ten sposób oduczy się ludność pracującą od ciągłego włóczęgostwa, a przysporzy się milionowego kapitału który z jednej strony leży odłogiem, z drugiej zaś strony w sposób w innych krajach już zupełnie zarzucony, u nas bywa marnowany.



Zakonnica na modlitwie.

Do tego, gdy doliczymy jeszcze trwonienie czasu na całotygodniowe zabawy weselne i na rozmaite zabytki z czasów pogańskich w prażnikach i poprazenach w każdej wsi osobno pielęgnowanych, które z zatrzymaniem wszelkiej ważności zwyczajów i obyczajów bardzo snadnie przenieść by się dały na każdą najbliższą niedzielę, przyjść musimy do przekonania i do wniosku, że w obec postępu i rywalizacyi z innymi krajami produktywnymi, sami po części jesteśmy przyczyną, co raz głębiej u nas zakorzeniającej się nędzy. Możeby dobrze było przypatrzeć się, jak z tą rzeczą postępują w Prusach. Tamtejsi kupcy trudniący się handlem zachodzą czy zajeżdżają do każdego producenta na podwórze, i ten bez utraty czasu zbywa każdy swój produkt począwszy od jaja, a co potrzebuje, w miejscowym nabywa sklepiku. U nas wyuczono klasę roboczą do tego stopnia mitręgi, że za każdą topką soli włóczy się do miasta, a gospodarstwo i dzieci, zostawia na upadek i rozpustę.

Jeden dzień bezrobocia w kraju naszym o 3 milionowej ludności pracującéj, a tylko po 20 ct. robotnika licząc, przynosi stratę, a ewentualnie przynieśćby mógł korzyść gld. 600,000 dziennie! Za przy-

sporzenie takich dni w roku najmniej 20-cia czyli rocznie milionów 12, co, każdy znający stosunki kraju naszego, nie tylko majątkiem, ale nawet głową poręczyćby mógł. Sumka to, nad którą bezkarnie przechodzić do porządku dziennego nawet pomyśleć się nie da. Mamy zatem w stosunku do innych krajów tyle jeszcze źródeł do eksploatacyi i do wykorzystania radykalnego, t. j. do wskrzeszenia dochodów zupełnie jeszcze drzemiących, a my, zamiast uciekać się do tych źródeł pozytywnych i produktywnych, uciekamy się do półśrodków we formach naradowych, kredytowych, banków ruskich, zaliczkowych, zapomóg bezprocentowych i w ogóle do finansowania — które razem wziąwszy niczem innem nie są, tylko zredukowaniem i umniejszeniem własności a następnie dziś grasującą ruiną.

Wszystkie warstwy społeczeństwa przychodzą wreszcie do przekonania, że w kraju tak czysto rolniczym jak jest nasz, interesa rolników przedewszystkim i na pierwszym planie stać powinny. Dotąd u nas działo się zupełnie inaczej. Z przyzwyczajenia i z zasady milczenia od roku 48-go o większych posiadłościach nietylko nikt żadnej wzmianki nie czynił, ale tem mniej o co kolwiek dla nich się upominał, w ogóle utrzymywano od roku tego takie incognito, jak gdyby warstwa ta w naszem społeczeństwie zupełnie już nie istniała Działo się to wszystko dla tego, ponieważ na każde wspomnienie o własności większej obawiano się hałasu, „choczut panszczyzny“ „żal im za pańszczyzną“! Dziś skoro czasy o tyle się zmieniły, że wywołaniem widma pańszczyźnianego nikt przestraszyć się nie daje, zakładanie rąk i zupełne ignorowanie stosunków właścicieli wioskowych, chyba tylko do tego doprowadzić może, że warstwa owa społeczeństwa jak najprędzej rozparcelowaną i zamienioną zostanie w dalsze ogniwo do maszyny pracującej na milionowych kapitalistów i przedsiębiorców kluczowych w pocie czoła.

Przejdźmyż znowu do dalszéj przyczyny. Niezliczona ilość jarmarków i targów, które zapełniły wszystkie dnie tygodnia, dalej cały zastęp prażników odciągnęły lud od pracy dającej właścicielom wioskowym jedynie możliwą egzystencyą. Wskutek tego odciągnięcia robotnika od pracy, produkcja więcej kosztowała, aniżeli przyniósł dochód. Ale jęku nikt nie podnosił, bo na każde wspomnienie, stawała zawsze żywa hydra pańszczyzny.

A cóż stało się z ukochanym ludkiem i z rzekomo protegowaną, jarmarkami i dodatkami ludnością małomiejską?

Ludność wiejska i zarobkująca małomiejska, otrzymawszy w roku 48 ogólne świadectwo dojrzałości, wypuszczoną została niejako ze szkół niższych na uniwersytet wolności, z której pozwolono korzytać w ten sposób — że dziś doprowadzoną jest do rozpaczy, do cisnącej się drzwiami i oknami nędzy — a dla czego? Dla tego, ponieważ jako nieodpowiedni środek posłużyć miała ku wytkniętemu celowi; ponieważ zamiast nawoływać ją do pilności, oszczędzenia czasu i pracy, połechtano jej próżność, lenistwo, i obudzono, opilstwo którego przedtem nikt prawie między ludem nie widział.

W ocenieniu sytuacyi obecnej widzimy, że póki nieweźniemy się do reform stosunków powyższemi przyczynami wykolejonych i z powodu powyższych braków chromających, póty o zaradzeniu złemu, społeczeństwo nasze całe w ogólności a ludność rolniczą do szpiku przygniatającemu i mowy być nie może. Rolnik nasz przy gospodarstwie, zaledwie wegetującem zamiast być w możności rolę jak rozum nakazuje zasilać, obarczany co raz to nowemi pomysłami, bez najmniejszego względu na skutki w gospodarstwie, sprowadzonym został do tego poziomu, że potrzebuje kilka lat ciągłych wkładów, aby o jakimbądź dochodzie pomyśleć. Słusznie więc nie wie czego i kogo ma się trzymać, komu zaufać, i stąd pochodzi, że czepia się tego ktokolwiek mu obiecuje nędzę jego materyalną poprawić, albo jakim badź sposobem rolę Mesyasza spełnić. Temu to przypisać należy, że z urny wyborczéj wywychodzą co raz to świeżsi prewodyry!!

O ile przeto stronnicy dotychczasowej autonomii i samorządu mają słuszność, a o ile z drugiej strony podniecana i wskrzeszana nienawiść, żółć i rozdwojenie wkradają się w społeczeństwo i stosunki nasze nurtują — co z dwojga lepsze, czy zadowolenie się skromnemi dotychczasowemi korzyściami na niwach drogowych i szkolnych czyli kultywowana przez to szkoda, wyrządzona zasadą divide et impera? Niedługa a bodaj czyli niesmutna przyszłość to okaże.

Wreszcie nie od rzeczy będzie refleksya na okoliczność pod niezaprzeczenie przecież mądrem ustawodawstwem pruskiem. Oto Bismark pomimo, że wniosek ceł ochronnych wyszedł z obozu nie bardzo umiłowanego bo polskiego, pomimo, że wskutek zaprowadzenia tegoż znaczna część ludnożci żyjącej z pensyi czyli kas krajowych i państwowych, za każde kilo mięsa i chleba płacić musiała o kilka fenigów wyżej, pomimo to uznał za korzystniejsze dla państwa uderzyć na podniesienie dochodów u źródła t. j. zabezpieczyć rolnictwo i przemysł fabryczny.

Żądając co raz świeżych milionów na potrzeby państwowe, umożebniono równocześnie produktywność tych milionów. U nas nietylko pod tym względem niczego nie zabezpieczono, ale nadto nie pomyślano nawet i w tym kierunku, a podczas gdy pod zarządem pruskim każdy akr ziemi do najwyższej przyprowadzono kultury, u nas leżą przestrzenie okiem nieprzejrzane jak bywało za dida i pradida, zasiane jedynie pustemi kretowinami, luźnymi karłowatymi krzakami, albo wreszcie bagnami i moczarami i zamiast plonów zboża, chyba tylko rozmaite gatunki mchów wydają.

Mamy jednak podstawy i słuszną nadzieję cieszyć się takim szczęśliwym pewnikiem, jakim jest najłaskawsze dla nas usposobienie najdostojniejszego dla nas Monarchy, i którego wyrazem jest nadanie nam takiego Namiestnika, który obdarzony znakomitą bystrością umysłu prawdziwego, męża stanu ocenić zechce i potrafi tak sytuacyą, jakoteż wynaleźć środki dla dobra kraju a tem samem i dla dobra państwa najbardziej korzystne i nieodzownie potrzebne.

Rolnik.

Najnowsza Encyklika Ojca ś.

Długo oczekiwana encyklika Ojca św. została już ogłoszoną. Datowaną jest ona z dnia 10 stycznia i omawia główne obowiązki chrześciańskich obywateli. Encyklika ta jest jedną z najważniejszych, jakie się dotychczas ukazały. Sam Ojciec św. przywiązuje do niej wielką wagę i zachęca przy końcu biskupów, by z treścią jej obznajomili wszystkich wiernych. Treść zaś jej jest następująca:

„Powrót do chrześciańskich zapatrywań na życie, do przykazań Chrystyanizmu jest koniecznym tak dla jednostek jako i dla społeczeństwa. Wielkie pod tym względem obowiązki ciążą przedewszystkiem na katolikach, których główną powinnością, powinna być miłość ku Kościołowi, a miłość ta da się bez trudności połączyć z prawdziwą miłością ojczyzny. Miłość ku Kościołowi jest i dziś o tyle potrzebniejszą, o ile gwałtowniej napadają nieprzyjaciele na Kościół katolicki.

W szczególności zaś potrzeba przedewszystkiem strzedz wiary, ku czemu służy pilne studyum prawd wiary i pokorna modlitwa. Nie tylko atoli należy strzedz wiary dla siebie, rzeczą katolików jest także starać się według swych sił o jej rozszerzenie i obronę. Bóg chce posługiwać się współpomocą ludzką, by dusze ratować. Wprawdzie w pierwszej linii należy to do kościelnego urzędu nauczycielskiego bronić wiary św., — lecz mimo to powinnością jest także pojedyńczych katolików współdziałać swym przykładem i według swych sił słowem i nauką. — W pracy tej nie powinniśmy się rozdzielać, lecz łączyć się wspólnie i działać zgodnie, jednomyślnie. Tego wymaga natura Kościoła, który jest połączeniem wielu; podobnie i sprawa obrony prawd, może być skuteczną tylko łącznemi siłami. Zgoda i jedność muszą się objawiać w myślach, szczególnie zaś w chęciach i woli, to znaczy w posłuszeństwie względem przełożonych ustanowionych w Kościele przez Boga. Posłuszeństwo to winno się rozciągać nie tylko na prawdy wiary, w ścisłem tego słowa znaczeniu, lecz na wszystko, co biskupi, a szczególnie co Stolica św. zarządzi ku zbawieniu katolików.

Kościół atoli jest społecznością, a jako taki, musi zostawać w pewnych stosunkach z społecznością państwową i obywatelską, co także powinno wzięte być na uwagę. Kościoł jest w swym rodzaju samoistnym, również takiemi są i te drugie społeczności, ale co do swego początku i celu posiada Kościół charakter od nich inny i z natury rzeczy podnioślejszy, z tego przeto względu musi być na swym obszarze niezawisłym, a jego sprawy, choćby wyszczególnione nad inne, nie mogą stać na usługach żadnej społeczności obywatelskiej. Katolicy więc mogą rozwijać swoją czynność na polu obywatelskiem, ale dobro Kościoła winno być normą dla ich publicznego działania.

Z różnorodności tych dwóch rodzajów społeczeństwa, nie można bynajmniej sądzić, jakoby one powinny być wielce odłączone i wrogo względem siebie usposobione, ale odpowiadając w zupełności ludzkiej naturze, powinny swą działalność rozwijać w harmonijnej łączności. Dla Kościoła przeto nie może być obojętną rzeczą, jakie prawa ustanowione bywają na polu obywatelskiem. W swoim i w obywatelskim interesie, musi on zabraniać kuć prawa wrogie i przeciwnie pilnować, by były przesiąknięte duchem chrześciańskim. Katolicy muszą też i w swem publicznem życiu być mężami chrześciańskiego usposobienia.

Do tego wszystkiego potrzeba przedewszystkiem zgody. Katolicy więc muszą się zdala trzymać zarówno od owej fałszywej i bardzo zgubnej roztropności, którahy chciała wszystkim zadość uczynić i nikogo nie obrazić, jako i od uprzedzenia, że oni tylko mogą wszystko lepiej zrobić niż ci, których Bóg ustanowił, by rządzili Kościołem, i którzy kierowani Duchem św. najlepiej znają potrzeby czasu. Kierownictwo zaś Kościoła należy w pierwszym rzędzie do rzymskiego Papieża, a potem także do biskupów. Zwykłym świeckim ludziom, jak nie mniej i kapłanom nie należy narzucać się mu na sędziów. Cała atoli nasza w tym względzie działalność byłaby bezużyteczną, gdyby się życie nasze nie zgadzało z naszemi zasadami. Musimy się przeto starać o życie chrześciańskie. Przedewszystkiem winna odżyć miłość, t. j. miłość Boga i złączona z nią ściśle chrześciańska miłość bliźniego.

Zasadom tym mogą nadać znaczenie przedewszystkiem rodzice przy wychowaniu swych dziatek i przy wybiorze i zakładaniu szkół, a biskupi dołożą sobie starań, by te zasady coraz więcej roszerzać“.

Encyklika ta nie podobała się bardzo liberalnej prasie. Nasi bracia (!) mojżeszowego wyznania i pokrewni im duchem liberały, uderzyli w bęben szyderstwa i ironii, nie dla czego innego, tylko zapewne dla tego, że Ojciec ś. cytuje w tej encyklice ś. Tomasza z Akwinu, a nie Spinozę lub któregoś z filozofów *„Nowej Pressy“* i że zaleca i nakazuje *„kochać przedewszystkiem Kościół, a potem Ojczyznę“*. Słusznie zauważył *„Przegląd“*, że na te bezwyznaniowe hałasy nie warto dawać dłuższej odpowiedzi, bo znaczyłoby to „rzucać groch na ścianę“.

Każdy dobry i prawdziwy katolik powita tę najnowszą encyklikę z radością, a żydkowie i ludzie bez wiary, muszą się gniewać na Ojca św., bo tenże pragnie ożywić społeczeństwo nowym duchem i sprowadzić je na drogę odrodzenia, czego wcale nie życzą sobie wrogowie „goimów“ i bracia z loży, a czemu znowu tak bardzo się i nie dziwimy, gdyż najnowsza encyklika zachęca wszystkich katolików do łączności w pracy i gorliwszego spełniania obowiązków chrześciańskich w życiu prywatnem i w życiu publicznem, a to przecież tamuje drogę pejsatym braciom do panowania nad znienawidzonymi goimami; przeciw loży zaś chce postawić armią szermierzy Chrystusowych, którzyby strzegli resztę braci przed jej obłudnymi i skryto-

bójczymi zamachami, które skierowane są ku obaleniu całego porządku społecznego i religijnego. Gdyby był Ojciec ś. nakazał n.p. przyswajać sobie zasady *„Nowej Pressy“*, *„Tagblattu“* i t. d. o to wtedy z pewnością podnosiłyby go te organa żydowskie pod niebiosa,“ ale że tego Papież, jako Głowa Kościoła katolickiego uczynić nie może, więc *„inde irae“*.

Ignacy Döllinger

umarł śmiercią niespodziewaną. Wbrew oczekiwaniu, przebył zgrzybiały ten mąż silny atak zarazy całą Europę obecnie trapiącej; donoszono wyraźnie, iż wszelkie niebezpieczeństwo już przeminęło; wtem gwałtowny atak przeciął pasmo dni jego długiej pielgrzymki życia.

Nie tu miejsce po temu, aby przynajmniej spróbować przedstawić obraz jego życia; 90 lat tego życia, zanadto obfitowały w wypadki na polu religijnem, politycznem i naukowem — a nawet sam wykaz jego pism, wymagałby rozmiarów całego artykułu dziennikarskiego. Zaraz w pierwszej chwili po jego śmierci ciśnie się przed oczy ów głęboki rys badawczy, ciągnący się w całej jego publicznej działalności aż do najpóźniejszej starości. Był to wróg protestantyzmu, któremu równego Niemcy nawet w 19 wieku nie oglądały, następnie zupełne zerwanie z przeszłością, walka przeciw Kościołowi, któremu tyle zawdzięczał, prowadzona — o ile wiemy — aż do końca, to rysy jego charakteru.

Imię jego w ścisłym już pozostaje związku z wypadkami, które przygotowały w pierwszej połowie naszego wieku wyzwolenie katolickiego Kościoła w Niemczech. Urodzony d. 28 lutego 1799, z ojca sławnego fizyologa, odbywał już od r. 1826 studya na uniwersytecie monachijskim, a będąc odtąd przez 60 lat jego członkiem, był wraz z Görresem i kilku innymi zaciętym przeciwnikiem stosunków kościelnych w państwie. Ostro stanął w piśmie swojem: „O małżeństwach mięszanych, oraz ocenienie zdania Bunzena w sprawie kolońskiej“ po stronie Klemensa Augusta (1868) a w 5 lat później zaszedł nawet za daleko w bawarskiej sprawie zginania kolan.

Podobnie na posiedzeniach bawarskiego sejmu, do którego od r. 1845 jako przedstawiciel uniwersytetu należał, występował zawsze jako nieprzyjaciel interesów kościelnych; swoją opozycyą w historyi Loli Montez, odpokutował przymusowem przeniesieniem w stan spoczynku, któratto kara dopiero przez króla Maksymiliana odwołaną została. Nader wybitną rolę odgrywał w usiłowaniach emancypacyi w końcu czterdziestego roku na różnych walnych zgromadzeniach związków katol. w Niemczech, na würzburgskich obradach episkopatu niemieckiego (1848) i w parlamencie frankfurtskim. Jemu przypisują sławne zdanie o samodzielnym zarządzie sprawami kościelnemi, które następnie przeszło w części do frankfurtskich praw zasadniczych, w całości zaś do ustawodawstwa pruskiego. Sława jego jako uczonego, nie podlegała wówczas żadnej wątpliwości. Jego pierwsze prace sięgają 20 lat wstecz; już na rok 1828 przypada jego podręcznik nowej Historyi kościelnej, po którym wkrótce pojawiło się nowe naukowe dzieło o Historyi Kościoła. Największy rozgłos zjednało mu, nawet w kołach protestanckich, monumentalne, trzytomowe dzieło: „Reformacya, jej wewnętrzny rozwój i jej skutki w łonie wyznania luterskiego“ (1846—1848), potępienie przewrotu kościelnego głosami jego własnych zwolenników. Wkrótce potem następujące, jego: „Szkice“ Lutra (1851), są najlepszemi z wszystkiego, co kiedykolwiek o mnichu z Wittenbergu napisano. O jego historyczno-kościelnych szczegółowych pracach któtką tylko na tem miejscu wzmiankę uczynić można. („Religia Mahomeda“, „Hippolytus“ i „Kallistus“ itd.).

Zwolna przygotowujący się zwrot, zaznaczyli już wcześniej poszczególni badacze. Wyszedł on dopiero na widok publiczny w monachijskich wykładach muzealnych (1861). Zdania jego o świeckiej władzy Papieży, były powodem obszernej polemiki, a zjawienie się pisma: „Kościół i kościoły, Papiestwo i państwo kościelne“, dzieło mistrzowskie o stylu przejrzystym, zawierające zresztą apologią Kościoła z historycznego punktu widzenia, obejmuje o wiele obszerniejszy zakres. Rozdział w katolickim świecie uczonym, sprowadziło (1863) monachijskie zebranie uczonych, na którem miał mowę „o przeszłości i teraźniejszości teologii katolickiej“, a zmarły profesor Scheeben, wraz z kilkoma, głębiej rzecz pojmującymi, towarzyszami, założył publiczny protest. Zajście to uważano niejednokrotnie za sprzeczkę jedynie w świecie uczonym, tem bardziej, gdy Döllinger, przez swoje nieprzyjaźne wystąpienie w parlamencie przeciw projektowi ustawy szkolnej, ściągnął na się niechęć w szkołach liberalnych (1868 r.); wkrótce jednak potem Warmejczycy odnieśli zwycięstwo.

Sobór watykański rozstrzygnął sprawę. Przed i w czasie tegoż był rzecznikiem anti-infalibistycznego stronnictwa, w „Janus“, w „Rzymskich listach“, w „Allgemeine Ztg.“, w „Erwägungen für die Bischöfe des Conciliums über die Frage der Unfehlbarkeit“. Na uchwały watykańskie odpowiedział oświadczeniem norymberskiem (sierp. 1870), odrzucił wezwanie arcybiskupa monachijskiego do poddania się, a 28 marca 1871 nastąpiło wykluczenie go z Kościoła.

Wiadomo jest, iż Döllinger zastrzegał się przeciw odosobnionemu ukonstytuowaniu „starokatolickiego“ Kościoła, (mianowicie na kongresie kolońskim), i nie brał udziału w próbach pp. Reinkensa Friedricha i Schultego. Z tym większym zapałem prowadził dalej opozycyę przeciw Stolicy św. jako pisarz, w tendencyjnych wykładach, szczególnie na rocznych posiedzeniach monachijskiej akademii umiejętności, która go w 1873 r. demonstracyjnie swoim prezesem obrała. Smutno pomyśleć, ile trudów sobie zadawał, aby puścić w niepamięć ślady mrówczej pracy długiego, chlubnego żywota, i zburzyć to, co w przeciągu 40 lat zbudował. Wiele stronnic możnaby zapełnić, gdyby chciano wydru-

kować twierdzące i przeczące zdania pierwszego i drugiego peryodu jego życia — było to umiejętne samobójstwo, któremu podobnego historya uczonego świata prawdopodobnie przedstawić nie zdoła.

Przypomnijmy sobie jego śmiałe wyrażenie: „Tysiące duchowieństwa myślą podobnie jak i ja“. Ostatnie lata dowiodły, w jakiem pozostawał złudzeniu: pozostał sam jeden, a fale walki rozwiały potęgą faktów, jego dziwne nadzieje usunięcia dekretów Watykańskiego Soboru. Gdy Kościół katolicki w Niemczech o byt swój walczył, stał on na uboczu, wysyłając pociski przeciw Kościołowi, którego budowy niegdyś bronił, szukając sprzymierzeńców w obozach, które go niegdyś miały w nienawiści, jako swego najniebezpieczniejszego przeciwnika.

Nikt ostrzej od niego nie zaznaczył rozkładu i słabości sekt kościelnych; smutne to było widowisko, gdy w rozprawie p. t. „Vorträge über die Wiedervereinigung der christlichen Kirchen“ i na trzech konferencyach w Bonn (1874—1876) budował wraz ze starokatolikami, anglikanami i oryentalnymi schizmatykami fantastyczną, antirzymską unią, nad którą spółcześni lekko przeszli do porządku dziennego.

Nie brakło usiłowań, aby go na dobrą drogę znowu przyprowadzić. Szczególnie pracował w tym kierunku ś. p. arcybiskup Antoni Steichele — ale naprożno. Nie mamy bliższych wiadomości o jego ostatnich chwilach, ale żaden znak zewnętrzny za tem nie przemawia, że znalazł odwrót na progu wieczności. Jeżeli się nie łudzimy, będzie on żył w pamięci ludzkiej jako duch potężny, który się sam sobie sprzeciwiał, jako wielki uczony, który broń duchową przeciw własnej skierował piersi.

„Ojcze nasz“.

Tak zatytułowany najnowszy, jedno-aktowy dramat Franciszka Coppée'go, nabrał w ostatnich dniach olbrzymiego rozgłosu, z powodu, iż rząd republikański zakazał jego przedstawienia na scenie pierwszego teatru francuskiego. Zaiste, trudno pojąć przyczynę tego zakazu! Szukać jej chyba należy w obawie, aby republikańskiemi i rewolucyjnemi zasadami nasiąknięte umysły francuskiego społeczeństwa, nie wróciły powoli do chrześciańskich myśli i chrześciańskich ideałów. Dramat ten jest rzeczywiście najwymowniejszym wyrazem reakcyi przeciw bezbożnym prądom, które wichrzycielskie żywioły wyzyskać i na swą korzyść obrócić zdołały. a teraz wszelkiemi siłami starają się podtrzymać, wbrew uczuciom ogółu, domagającego się powrotu czci Bożej, porządku i sprawiedliwości.

Dramat jest z jednej strony apoteozą zasług i pracy kapłańskiej, a zarazem idei chrześciańskiego przebaczenia, z drugiej zaś, jest wyrokiem potępiającym zbrodnie i bezbożną zaciekłość rewolucyjnych i komunistycznych żywiołów.

Przy podniesieniu kurtyny dowiadujemy się z ust starej sługi Zelii, że pan jej, ksiądz Morel, ideał cnoty i poświęcenia, zamordowany został, jako zakładnik, przez komunistów. Krwawą tę historyę opowiada ona sąsiadce. Rzecz się dzieje w mieszkaniu zamordowanego, w chwili, gdy Wersalczycy stają się panami Paryża, wypierając komunistów. Walka okropna, bratobójcza, toczy się na ulicach.

Sąsiadka. Zatem, to rzecz pewna? rozsiekali go, ci zbóje? Pewneż to jest, zupełnie pewne?...

Zelia. Niewątpliwie!... na ulicy Haxo, tu zaraz w pobliżu — wraz z innymi księżmi Przedwczoraj, gdy ci szubrawcy byli jeszcze panami tej dzielnicy, — widział go jeden z sąsiadów. Ksiądz podniósł rękę, aby błogosławić, i nagle padł trupem. . Ani siostra jego, ani ja żadnej innej wiadomości nie mamy. Ale to rzecz pewna. Gdy go wzięto jako zakładnika, mówiłyśmy sobie: No, zobaczymy go wkrótce z powrotem, — miłowano go bowiem w całej okolicy... Taki był dobry! taki miłosierny! święty!... A, nie godziwcy! (Za sceną słychać strzelanie z karabinów).

Sąsiadka (*wzdrygając się*): Boże mój!

Zelia (*powstaje*). Dobrze! pomścijcie nas wersalscy żołnierze! Zabijajcie, mordujcie wszystko... To słuszny odwet.

Sąsiadka. Matko Zelio!... Prawda, to kara wymierzona nędznikom, — ale zdaje się, że się to już w rzeź zamienia. Strumyk, za merowstwem dwudziestego okręgu, był wczoraj pełen krwi... To straszne!... zwłaszcza, że niejeden niewinny..

Zelia. Niewinny? Któż był niewinniejszym od mego pana, od biednego księdza Morel? Serce złote! prawdziwy kapłan! który dla siebie nic nie chował, a wszystko zawsze oddawał innym. . Jego mordować! ależ to chyba teraz nie ludzie są, lecz tygrysy!... W czasie straszliwego oblężenia oddał on wszystko, co miał, ostatnią prawie koszulę sprzedał!...

Następnie opowiada Zelia o rozpaczy siostry księdza, Róży, i o ich wzajemnym stosunku,

Przeszło od piętnastu lat — mówi — jestem tu na służbie. Rodzice ich, mieszczanie, prawie chłopi, nie dawno byli pomarli. Chłopak sierota przynosił ze szkoły ludowej zawsze nagrody. A był łagodny, serdeczny. . . To też siostra z dumą mówiła, że jej Janek nie jest zwyczajnem dzieckiem. Umieszczono go potem w mieście, w małem seminaryum Tam odniósł wszystkie nagrody, zawsze był pierwszym. Wówczas to jeden z krewnych, bogaty rolnik, chciał ożenić się z Różą, która śliczną była. Ale ona przysięgła sobie, że zostanie starą panną, i odmówiła, tłumacząc się obowiązkami dla brata. „Gdy zostanie — mówiła — proboszczem, będę dom jego prowadzić“. I dotrzymując słowa, żyła odtąd zawsze dla niego tylko. Nie było na świecie dwóch istot bardziej się kochających... I pomyśleć, że on już nie żyje, że go zamordowano! że to rzeczywistość! Gdy go zamianowano wikaryuszem w Belleville, w tem okropnem przedmieściu, siedlisku obdartych nędzarzy, rzeczywiście szemrałam, miałam jakgdyby przeczucie. Ale siostra jego rzekła mi wówczas niemal surowo: „Tem lepiej. Brat mój będzie miał dużo dobrego do zrobienia“. Przypomniała to teraz sobie biedna siostra!.

Rozmowę tę, w której Zelia w uczuciu żalu, posuwa się do złorzeczenia, przerywa wejście siostry księdza, panny Róży. Sąsiadka wychodzi, a Zelia

w krótkiej rozmowie z panią, w której rozpacz tej ostatniej wybucha nieraz gwałtownie, zwiastuje jej, że Wersalczycy zwyciężyli już prawie zupełnie komunistów, a wreszcie, że ksiądz proboszcz chciałby się z nią widzieć. — Zrazu Róża nie chce go przyjąć, lęka się, że kapłan mówić jej będzie o rezygnacyi i przebaczeniu, gdy serce jej pełne mściwych uczuć i przekleństwa. Nieszczęśliwa zrozpaczona dziwi się sobie, że po takiej klęsce żyć jeszcze może. Przeraża ją myśl, że to życie, odtąd pozbawione celu i bezużyteczne, ciągnąć się może jeszcze długo, bardzo długo, a wreszcie woła w dzikiej rozpaczy:

„Dawne uczucia pobożne wygasły już we mnie! Jestem z ludu i jego instynkta wzbudziły się we mnie. Boleści mej nie złagodzi ten, który mi mówić będzie o niebiosach, o przebaczeniu, o nadziei! Od wczoraj napawam się łzami, a to jest trucizna!

I tu żal jej wybucha znowu żądzą zemsty i strasznemi bluźnierstwami przeciw Bogu, który nie powstrzymał ręki zbrodniarza i dopuścił dopełnienie tak okropnego czynu..

„Nie wierzę w Boga! — woła — teraz proboszcz przyjść może...

Wchodzi siwowłosy starzec ze słowem błogosławieństwa i pociechy na ustach.

— Kobieto — mówi — uspokój się, twój brat w niebie!

Ale na to słowo, rozpacz Róży, zrazu miarkowana, wybucha z całą gwałtownością:

— Niebo! — powtarza. — A, czekałam na tę odpowiedź banalną, na to puste słowo, które samolubstwo wygłasza! Tak, mój brat jest w niebie! Dobrze. Ale on jest także przy ulicy Haxo, w tej okropnéj rzeźni, tu zaraz, w pobliżu, skrwawiony, oszpecony, dwudziestu przekłuty ranami... Okrucieństwa te, wszak to rzeczy pewne. Wzrokiem ludzkim nie mogę dopatrzeć biednego brata mego tam w górze, z palmą męczennika w ręku. Ale trup jego to rzeczywistość... ale jego śmierć jest prawdą! To są rzeczy pewne... a ci, którzy go wrzucili do rowu, ciskając na jego zwłoki błoto i kamienie, pogrzebali zarazem wiarę mą w niebiosa. Czy pojmujesz księże? Niebo! zawsze niebo! Lecz gdy ci ludożercy porwali mego biednego brata i przeszyli go kulami, jaśniało niebo wasze, błękitne... spokojne... Ono się teraz dla takiej drobnostki nie wzrusza; to było dobre w czasach Sodomy, ale nie teraz. — Niebo! popatrz się, poczciwcze, jakie ono czyste — a tymczasem Paryż płonie, tymczasem ludzie się mordują, a na ulicach płyną strugi krwi i nafty!... Wartoby może, aby się w to wdało wasze niebo!... Otóż ja, siostra kapłana, nienawidzę go, nienawidzę! i wyzywam otwarcie gniew jego! — A teraz przeklinaj mnie, księże!...

P r o b o s z c z. Nie, nie przeklinać, płakać będę z tobą. Bluźnierstwa twoje ani mnie gorszą, ani zadziwiają. Tylko brat twój, męczennik, w szacie świętości, którą właśnie przybrał, w chwale swej, wśród Aniołów — on tylko ma zranione serce słowami rozpaczy swej siostry.

Łagodne, pełne namaszczenia wyrazy sędziwego kapłana, wywierają silne wrażenie na zbolałą duszę Róży. Zaczyna płakać rzewnie, gdy w tem dają się słyszeć strzały, znak bratobójczej walki, która wciąż się toczy na ulicach Paryża. Strzały te obudzają ponownie burzę wściekłości w rozrzewnionej na chwilę duszy niewiasty. Wybucha uczuciami dzikiej zemsty, które już naprózno kapłan ułagodzić się stara...

R ó ż a. Wszyscy niegodziwcy! Ci ludzie z przedmieścia, mężczyzni, kobiety i dzieci, dla których brat mój pozbawiał się wszystkiego, którzy w chorobie pragnęli go widzieć u swego łoża, których on nędzę sto razy wspomagał — ludzie ci, właśnie oni, byli po stronie komuny, gotowi wszystko niszczyć, wszystko oddać na pastwę płomieni! A mój brat tak ich kochał! codziennie odwiedzał ich nędzne mieszkania, nosił im chleb, pieniądze i odzież, dzielił się z nimi szczupłem swem mieniem.. I oni to właśnie jak psa go zamordowali! Oni, albo im podobni. A przecież to niesłychane, co on czynił dla nich.. Patrz księże! (*Otwiera szafę i wyjmuje ztamtąd sutannę i okrągły kapelusz księży*). Chowam tu zniszczoną sutannę i kapelusz zupełnie zrudziały. Mówiłam właśnie bratu: „Doprawdy wstyd mi robisz; suknie twoje już są zbyt stare; muszę pomyśleć o twojej garderobie.. Mam teraz pieniądze, tu w szufladce“. Ale on mi odrzekł: „Różo, powracam w tej chwili od naszych sąsiadów, Duval. Wiesz, jest tam pięć osób do nakarmienia... Biedni ludziska! Ona leży w połogu... a wczoraj przychodzili już do nich woźni sądowi z egzekucyą. Nie godzi się w obec takiej nędzy, aby ksiądz chełpił się nowem odzieniem... Popraw trochę ten kapelusz, pozaszywaj sutannę — a jeszcze to mi na cały sezon wystarczy. . . (*Rzuca kapelusz i sutannę na krzesło).* We cztery dni później, był już w więzieniu, wzięty jako zakładnik i nikt nie uczynił kroku, aby bronić tego dobroczyńcę, który dla wszystkich był tak szczodrym i wylanym. Najmilsi jego ubodzy, ci przez niego wyszczególniani, szukali zarobku w szeregach komunistów, a w dzień mordu, oni tam byli może . . . I ty śmiesz potępiać mą wściekłość! dość, księże! Swym słodkim głosem mówiłeś mi, że dusza mego brata jest tam, w górze. — kłamałeś! Chciałeś uśpić boleść mą tą słów harmonią, ale oto zbudziły mą siłę te wystrzały, wymierzone przeciw tym niegodziwcom! Oni zamordowali mi brata! Inni biorą pomstę za mnie Tem lepiej!

P r o b o s z c z. Powinienbym, przez cześć dla sukni, którą noszę, opuścić, i to na zawsze, progi tego mieszkania, i nie pozwolić dłużej ciskać sobie obelg w oczy. Lecz tej, która mówi o zemście, obowiązkiem jest moim rzec ostatnie słowo surowe. Bóg, który za świat cały umarł na Golgocie, Bóg, którego wieczystą ofiarę spełniał codziennie brat twój, korny przed ołtarzem, a którego lży teraz twoje nikczemne szaleństwo, jest Bogiem dobroci, przebaczenia i łaski. Brat twój w chwili śmierci — jak sądzę, jak pewien jestem — myślał tylko o Chrystusie na krzyżu, bo taki chrześcianin nie upada u przystani; a cierpiąc w swej wierze, pod lufami karabinów, słodycz męczenników i siłę bohaterów, wzniósł rękę, aby błogosławić swym katom. Z sercem goryczą żalu zatrutem, przyklaskuj doraźnej sprawiedliwości, nienawidź i mścij się! ale wiedz dobrze, że gdyby ksiądz Jan Morel, gdyby ten doskonały chrześcianin, gdyby szlachetny

twój brat, nieszczęśliwa kobieto, był dzisiaj sędzią tych ludzi, których zabijają, gdyby od niego wyrok był zależny, — on miałby litość nad nimi i przebaczyłby im!... Żegnam...

Róża. Jakież okropne zamięszanie rzucasz mi księże, w duszę! Brat mój był świętym, a ja tylko kobietą jestem. Wszakże to prawda, że on błogosławił swym mordercą!... Niestety, co zrobić z sobą, co czynić?...

Proboszcz (*z progu*): Módl się!

I następuje scena przepyszna walki wewnętrznej:

— Modlić się! — powtarza Róża — kilkakrotnie rozpoczynałam dzisiejszej nocy modlitwę — ale myśl moja była pełną nienawiści i buntu. Modlić się, czyliż potrafię?... Raz jeszcze spróbuję. (*Bierze koronkę i zaczyna mówić „Ojcze nasz“*): Ojcze nasz, któryś jest w niebie. Święć się Imię Twoje... Przyjdź królestwo Twoje. Bądź wola Twoja...

Słowa te już wzbudziły w sercu mojem burzę. Czyż mogę powiedzieć: Boże, bądź wola Twoja!... (*z wysiłkiem mówi dalej*): „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym...“

Przebaczyć? Komu? Wszystkim tym mordercom! Biorę na świadectwo Boga, Matkę Bożą i wszystkich Świętych! jam tego nie powiedziała — nie byłam szczerą, nie kłamałam! Zaklinam się na wszystkie ziarnka tego różańca... Pali mi ręce ta koronka przeklęta! *Rzuca ją na stół*). (W tej chwili wpada do pokoju, widocznie ścigany, w poszarpanym mundurze, oficer komuny, Jakób Leroux).

Leroux (*ostałbym głosem*): Przytułku! Racz mię pani ukryć... przez litość. Zdołałem im uciec, ślad mój zatracili. Nikt mię tu wchodzącego nie widział.. Raczysz mi pani dać schronienie?...

Róża (*do siebie*): Komunista! tu — u mnie!

Leroux: Jestem zwyciężony, w ucieczce! Litości! Ścigają mię jakby dzikie zwierzę... Uciekam, a po za sobą czuję ciągle Wersalczyków. Jeśli mnie schwycą w tym mundurze z galonami — wszystko stracone! Do muru i — rozstrzelają!... Jęśli mię wypędzisz, jestem zgubiony! O, pani, wszak masz kogoś zapewne drogiego sercu, ojca, syna, brata, męża? więc cię zaklinam, błagam cię nakolanach, ocal uciekajacego, zwyciężonego w walce, w imię tego męża, syna lub brata!...

Róża. Mego brata? Wstań człowieku i słuchaj. Brata? miałam jednego, lecz już go nie mam, a imię jego będzie odpowiedzią na tę gadaninę twoją... Bratem moim był ksiądz Morel, rozstrzelany, jako zakładnik!...

Leroux. Jestem zgubiony! uciekajmy!

Róża (*zastępując mu drogę*): Tak, dobrześ powiedział — jesteś zgubiony! Wyjdź, jeśli chcesz, z tego domu zbóju! Ale ja cię nie opuszczę, pójdę za tobą na ulicę i wołać będę i ukażę cię zgromadzonym tłumom i na poły umarła, z nożem twym w łonie, jeszcze ścigać cię będę i krzyczeć: chwytajcie mordercę!

Wywiązuje się ztąd krótki, pełen siły dyalog, między komunistą a oszalałą z boleści kobietą Gdy Jakób Leroux wyczerpał już wszystkie błagania, a Róża wszelkie złorzeczenia, gdy się już zdaje, że dla zbiega rzeczywiście nie ma żadnej nadziei ocalenia— kilka słów jego dziwnie poruszają serce niewiasty.

Leroux przestaje błagać: — Za długom prosił, mówi, i źle uczyniłem. Czyń, co chcesz, pani, wydaj mię pani! Chcę zginąć odważnie.

W dalszym ciągu przyznaje, że był komunistą, chociaż wypiera się udziału w zbrodniach, — przyznaje, że w Boga nie wierzy, ale dodaje, iż w tem zwątpieniu utwierdza go jeszcze chwila obecna, w której się przekonywa, co znaczy rzekoma pobożność, która nie zna uczucia przebaczenia i bez wahania na śmierć wydaje.

Te słowa właśnie czynią na Róży głębokie wrażenia, gdy wtem Zelia z pośpiechem wbiega do pokoju i daje znać, że dom jest otoczony żołnierzami, którzy chcą robić rewizyą. — Róża oddaliwszy Zelię, zostaje znowu sama z komunistą i głęboko się zamyśla: — „Ksiądz, powiada do siebie, miał słuszność, brat mój byłby przebaczył. Czuję to w mej duszy...

Leroux. Więc trzeba umrzeć. Żegnajcie mi dzieci i żono... Odwagi! to los mój któremu się poddaję. (*Róża porywa nagle z krzesła sutannę i kapelusz, a jedną ręką podając te przedmioty komuniście, drugą wskazuje mu drzwi na prawo*).

Róża. Wejdź pan do tego pokoju i przebierz się w te suknie.

Leroux (*zdumiony*): Jakto! ja?

Róża (*z gestem rozkazującym*): Natychmiast! (*pozostawszy sama*): Ty chcesz tego, bracie mój, święty kapłanie! chrześcianinie wielki! To może jeden z twoich katów... Ale siostra twoja jest ci posłuszną i przyodziewa go w twoją sutannę, ukochany bracie, daje mu twoją relikwię, święty męczenniku!

W tej chwili wkraczają do pokoju Wersalczycy; na czele oficer, który z całą grzecznością, ale stanowczo zapytuje Różę, czy nie schronił się tu jeden z komunistów, jeden z ważnych przywódzców. Róża stanowczo odpowiada przeczeniem, wyrażając zdziwienie z takiej pomyłki, a gdy Leroux pojawia się w sutannie księżej i kapeluszu, wskazuje na niego ręką mówiąc: Mieszkam samotnie z tym oto bratem moim... (Oficer kłania się z uszanowaniem księdzu i wychodzi).

Leroux (*wyciąga obie ręce ku Róży i mówi głosem przyciszonym, pełnym pomięszania*): Będę pamiętał całe moje życie... całe...

Róża (*przerywa*): Ani słowa więcej! W tem ukraniu jesteś bezpieczny. Uchodź natychmiast... uchodź!...

Leroux wychodzi, a Róża pozostawszy samą, bierze porzuconą koronkę, mówiąc: „Ukochany mój bracie... otom ja, biedna siostra twoja i korna spadkobierczyni twych uczuć... błogosław końcowi mojej modlitwy...“ Klęka i kończy przerwaną modlitwę:

„I odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. A nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen. (*Kurtyna spada*).

Przytoczyliśmy z umysłu obszerniej treść główną wspaniałego utworu francuskiego poety, aby dać choć słabe wydbrażenie czytelnikom naszym o jego pięknościach. Trudno w mniejszej liczbie słów zawrzeć po-

tężniejszy dramat; trudno plastyczniej i silniej przedstawić grozę tych okropnych chwil, jakie przebywało społeczeństwo francuskie w tej dobie; trudno też wspanialszemi barwami wyrazić szczytność idei przebaczenia. Oczywiście, to cośmy przytoczyli, ani w przybliżeniu nie może dać pojęcia o pięknościach oryginału, który jest jednem z arcydzieł poezyi francuskiej. Wiersz Coppée'go zawsze pełen siły — w tym utworze potężniejszym jest jeszcze niż zwykle. Można sobie łatwo wyobrazić, jakie wrażenie wywarłby ten dramatyczny obraz, zwłaszcza w interpretacyi takich artysłów. jak Got, który miał przedstawiać postać proboszcza, jak pani Tessandier, która miała wystąpić w roli Róży i jak p. Laroche, który odegrać miał rolę komunisty Leroux.

Wrażenia tego obawiał się zapewne rząd republikański, zakazując przedstawienia dramatu, który piętnuje zbrodnie rewolucyi, a wysoko podnosi ideę miłości Bożej i przebaczenia...

Dramat ten został zakazany w „Teatrze francuskim“, będzie przedstawiony w „Théatre libre“, który spodziewa się — i słusznie — olbrzymiego sukcesu. Zakaz niczem nie usprawiedliwiony, a potępiony nawet przez liberalne dzienniki, stał się w tym wypadku reklamą, której zresztą utwór niepotrzebował.

(*„Kuryer pozn.)*“.

Dowcip amerykański.

W kraju, gdzie herbem ludu jest dolar, gdzie pracują z natężeniem wszelkich sił fizycznych i duchowych, w Ameryce, potrzeba tem więcej dobrego humoru, im mniej przyjemności wszelkiego rodzaju obejmuje program życia, a twarda walka o byt i bezustanne ubieganie się o bogactwo obciążają nad miarę wielkie warstwy narodu. Zdarza się często w wielkich miastach, że ludzie 50-letni umierają nagle skutkiem przeciążenia pracą. Dla takich, nader pożądaną staje się satyra i dobry humor, które ciężar codziennego życia czynią znośniejszym.

W bujnie rozwiniętem politycznem życiu amerykańskiego ludu, występuje dowcip często w sposób nam całkiem nieznany. Nie przeminie żaden peryod wyborów, w którymby nie znać było ulubionego współzawodnictwa: Pokonany musi obwozić zwycięzcę na wózku po najludniejszej dzielnicy miasta, oczywiście wśród okrzyków radości przechodzących tłumów. Kandydaci przy wyborach wystawieni bywają bez litości na pośmiechowisko; biada im, jeżeli w ich życiu da się coś takiego wyśledzić, coby mogło służyć za cel pocisków. Podobnie i różne zgromadzenia ludu często niepomyślny mają przebieg. „Kongres się skończył“ — pisze dziennik bostoński, — „mieszkańcy Waszyngtonu wychodzą teraz znowu na ulicę bez rewolwerów.“ Inny dziennik pisze, iż do miasta przybył jakiś cudzoziemiec i zapytał się swego gospodarza, czy nie ma w mieście co godnego widzenia, jak np. menażeryi? „Nie“ odpowiedział właściciel gospody, „ale posłowie odbywają jeszcze swoje posiedzenia, a widoku tego nie powinien pan zaniedbać“. Inny gospodarz radził cudzoziemcowi, aby idąc do parlamentu, pozostawił w domu zegarek i sakiewkę z pieniądzmi. Oczywiście, zdarzały się już nie raz bójki na posiedzeniach sejmu amerykańskiego, zdarzało się równie, iż większa część posłów była pijaną.

W czasie kampanii wyborczej kwitnie często humor w najoryginalniejszy sposób. Słyszałem pewnego dnia w niemieckim języku mianą mowę Amerykanina tak pełną komizmu, iż część słuchaczów nie mogła się powstrzymać od szalonego śmiechu: mowca nie posiadał żadnej znajomości niemieckiego języka i absolutnie nie mógł być zrozumianym. W Detroit kazała pewna wdowa. właścicielka piwiarni i małego haudlu podczas wyborów wystawić przed swoim domem flagę i na niej umieścić „polityczną odezwę“. Gdy słup został wkopany do ziemi i wielki tłum ludu się zebrał, wylazł gruby karzeł na beczkę i miał w strasznej angielszczyznie mowę następującej treści: „Moi przyjaciele! Słup już wystawiono, wkrótce powiewać będzie chorągiew nad wolnym narodem. Wielki to kraj, a słup ten kosztuje około 3 dolarów. Możemy płacić podatki, trudnić się polityką i mieć przyjemności różnego rodzaju, a właścicielka tej gospody sprzedaje w mieście Detroit najlepsze piwo. W kraju tym wszyscy są sobie równi, a do wdowy tej udajcie się, gdy macie zamiar kupować towary. Wdowa jest pod względem politycznym usposobienia liberalnego; oświadczyła się tak za demokratycznym jakoteż i za republikańskim kandydatem, a sprzedaje za 10 cents więcej haczków do wieszania bielizny, niż ktokolwiek w mieście. Kończąc swoją przemowę dodaję, iż nigdzie tak wielkiej szklanki piwa za 5 cents dostać nie można jak u tej wdowy.“

Prawie w każdym numerze dziennika można znaleść treść humorystyczną. Najwięcej rozpowszechniony dziennik amerykański, nowojorski „Herald“, którego właściciel jest milionerem — sławnego podróżnika afrykańskiego Stanleya wysyłał kilkakrotnie na odkrycia — dopuścił się przed laty zbyt ostrego żartu. Wśród parku centralnego umieszczone były w złych klatkach drewnianych dzikie zwierzęta. Prasa zwracała już kikakrotnie na to uwagę, że stajnie są nieodpowiednie, że może stać się kiedyś nieszczęście, gdy zwierzęta dostaną się na wolność. Wtem pojawił się pewnego dnia nadzwyczajny numer wspomnianego dziennika z doniesieniem, iż lew i tygrys stoczyli walkę ze sobą, przytem rozjuszone zwierzęta roztrzaskały drewniany budynek, wielu dozorców zostało ranionych i zabitych, a zwierzęta rozprószyły się po parku i sąsiednich dzielnicach miasta. Donoszono szczegółowo, jak pewien znany mąż stanu został napadnięty przez lamparta; jeden z najwybitniejszych duchownych walczył z wilkiem na śmierć i życie; familia pewnego finansisty właśnie siedziała przy wieczerzy, gdy olbrzymi wąż ukazał się na werandzie i wcisnął swą głowę przez okiennice, szczęśliwym wypadkiem były kraty żaluzyi tak ciasne, iż familia mimo strachu śmiertelnego, miała dosyć czasu do ucieczki. W końcu następowała notatka, na którą wielu w pierwszym przestrachu nie zważało, że to wszystko było tylko snem fantastycznym sprawozdawcy. Wielu ludzi mających krewnych i przyjaciół w po-

bliżu, popadło w trwoge, a w szerokich kołach wielkie było rozgoryczenie na ten dowcip niewczesny.

Mniej harmonijnie brzmią kłamliwe wieści wielu dzienników, których celem jest przedstawić rzeczy nadzwyczajne w żartobliwy sposób. Wydawca dziennika pensylwańskiego doniósł krótko, iż chce nabyć dobrego psa za roczny abonament na swój dziennik. Skutek był nadzwyczajny. W następnym dniu przysłano mu do bióra 43 psy, a w 24 godzin później, gdy się wieść po kraju rozeszła, przysłało mu około 400 mieszkańców prowincyi przez umyślnego posłańca po dwa psy; nadto pojawiły się kosze ze szczeniętami. W kilka dni później, wieść doszła do sąsiednich stanów, a przy końcu tygodnia stało 8.000 psów przywiązanych na sznurach w podwórzu redaktora. Byli tam przedstawiciele wszelkich ras i gatunków. Wiele z nich przerwało swe sznury, wyjąc i szczekając biegało naokoło domu, pokąsało kilku zecerów w drukarni i sprawiło taki przewrot, że cała ulica się poruszyła. Przez 6 dni nie wydano żadnego dziennika. Przyjaciele biednego dziennikarza, którego interes na długi czas upadł, zakupili wreszcie beczkę arszeniku i trzy beczki mięsa. To poskutkowało, psy ginęły masami. Ale burmistrz przysłał mu rachunek podatkowy na 8000 dolarów, a policyu nałożyła dotkliwą karę za naruszenie publicznego porządku. Nie mogąc zapłacić tej kwoty, uciekł potajemnie do sąsiedniego stanu i założył (.....) piwiarnię. Nawet dzienniki, które w poważnym tonie przemawiać zwykły, nie mogą się powstrzymać od umieszczania, od czasu do czasu, artykułów treści humorystycznej. Czytano nie dawno w dzienniku stanu Illinois: „Farmer Wiederhold przy Douglasville, w stanie Georgia, był świadkiem, jak wielki wąż połknął całe gniazdo z jajami przepiórek. Stało się to w chwili, gdy młode przepiórki wkrótce miały się wykłóć i odlecieć. Kilka dni później, napotkał sąsiad Wiederholda tego samego węża prowadzącego całą gromadkę młodych przepiórek. Małe ptaszki wylęgły się widocznie pod wpływem ciepła w brzuchu węża, który odtąd odgrywał rolę ich matki; małe ptaszki chodziły odtąd za wężem jak za kurą, a matka ta widocznie dumną była ze swego potomstwa. Po kilku dniach spostrzegł Wiederhold węża, który z podniesioną głową zabierał się do kłosów owsa. Jego dziwne zachowanie się zwróciło jego uwagę. Trudno uwierzyć, lecz wiarogodny Wiederhold widział własnymi oczyma, jak wąż ziarnka z kłosów wydziubywał i karmił niemi [towarzyszącą mu gromadkę przepiórek“.

Zabawnymi są redaktorzy amerykańscy, gdy się nawzajem napadają. „Nasz kolega Morris,“ mówi dziennik nowojorski, „opuścił posadę w Hudsonboten. Spodziewamy się, iż tenże znajdzie wkrótce posadę inną, odpowiadającą jego zdolnościom jako węglarz, stróż lub zamiatacz ulic“ „Kolega nasz p. Lathrop z Seebotu jest bardzo wprawdzie niskiege wzrostu, pisze pewien dziennik konkurencyjny, „ale właśnie ta jego szczupłość wyratowała go niedawno z wielkiego niebezpieczeństwa. Kilku panów przybyło do jego biura, chcąc go pociągnąć do surowej odpowiedzialności za złośliwy napad, ale p. Lathrop widząc ich nadchodzących wskoczył zgrabnie do próżnego już prawie garnka z klejem i zamknął pokrywę. Tam nikt go nie znalazł.“ Gorzej jeszcze pisze pewien dziennik zachodni o swoim konkurencie: „Ostatnie wiadomości zasięgnięte o naszym poprzednim koledze Simpson wcale nie były pocieszające; widziano go wiszącego na drzewie i ciągnącego na stryczku kilku mężczyzn.“ Nie mniej złośliwie brzmi następująca uwaga: „Na ulicy Waszyngtona zaatakował nagle zdziczały koń syna redaktora z Mississipi - adler i wyrwał mu połowę małżowiny. Złośliwe zwierzę byłoby mu z pewnością całą małżowinę oderwało, gdyby na szczęście nie było się znowu obłaskawiło.“

Ten przesadzony humor bardzo w jest Ameryce rozwinięty i to w dziwny nader sposób. „Pan byłby się spóźnił do pociągu, gdyby był na schodach wiodących na peron nie był wstąpił na skorupę z jabłek. Skutkiem tego wsiadł tak prędko, iż mógł odjechać,“ donosi dziennik miejscowy. „Mysz wpadła“ pisze pewna historya dla dzieci, „do naczynia z mlekiem i nie mogła wydostać się z płynnej masy. Ale mleko było tłuste i świeże a mysz pływała w koło z rozpaczliwem natężeniem, poruszając wszystkiemi nogami. W przeciągu godziny skutkiem tego ruchu zamieniła mleko w masło i zyskała stałą podstawę. Wypoczęła czas jakiś a następnie jednym smiałym susem wyskoczyła z naczynia.“ Drastyczniejszem jeszcze jest doniesienie o strasznej sile nitrogliceryny. „Było to w pobliżu miasta Prairie du Chien, gdzie pracowano przy kolei St Paul. Przedsiębiorca miał kilka beczek materyi wybuchowej zakopanej w ziemi, ale pewnego dnia robotnik usunął przykrycie, a świnia równocześnie przechodząca polizała odrytą beczkę, a ponieważ treść zawarta wydała jej się słodką, opiła się nią do syta. Następnie odpędzona świnia dostała się do stajni, w której stało około 40 koni przedsiębiorcy budowy. Świnia biegała pomiędzy rumakami tak długo, aż jeden z nich uderzył ją silnie kopytem. Skutkiem uderzenia nastąpiła eksplozya a z koni i świni nie pozostało ani śladu. Na miejscu stajni powstała jama mająca 200 stóp w obwodzie a 50 głękokości. Istotnie, moi panowie, to jest nitrogliceryna“. W podobnym tonie opisuje pewien podróżny wielką posuchę. W lecie 1886 roku jechałem statkiem parowym do Połomac. Było tak sucho, iż z pod kół parowca wznosiły się nieustannie tumany kurzu, iż jechaliśmy jakoby w chmurze i nie mogliśmy brzegu rozpoznać. To była posucha“.

W innym zbiorze amerykańskiej humorystyki znajduje się śmiałe przedstawienie świąt Bożego Narodzenia i z niemi połączonego niebezpieczeństwa z podarków: „Henryk dostał szkatułkę z przyrządami a w pierwszy dzień Świąt były już zrujnowane trzy nogi fortepianowe. Wojciech otrzymał w podarku łyżwy a wieczorem powrócił z odmrożoną nogą; dziadek dostał szóstą tabakierkę a babka nowe okulary ze złotą oprawą, ale z tak fałszywemi szkłami, iż nawet „Ojcze nasz“ przez nie odmówić nie mogła. Ojciec otrzymał szlafrok w którym wygląda jak kiełbasa i parę haftowanych pantofli o 2 numera za małych, wszystko to rzeczy, które go więcej ucieszyły, niż gdyby sam był za nie zapłacił. Była to prawdziwa radość świąteczna.

Zresztą Amerykanin zna dobrze słabe strony swego życia familijnego i chłoszcze dowcipnie zbyt wygórowany kult kobiet. Według ostatniego obliczenia“, pisze Sun w Nowym Jorku, „przypadało w Ameryce na familię przeciętnie po 5 i $^{1}/_{2}$ osoby“. Sucho dodaje: W niejednej rodzinie jest mąż — częścią“. Jako ilustracyą nieustannego polowania za zarobkiem i skutkiem tego niewygodnego życia rodzinnego podajemy obraz wyjętym z dziennika baltimorskiego: „Rano udaję się do interesu, gdy moje dzieci spią jeszcze, a gdy wieczór powrócę już się spać pokładły. Tym sposobem nie widzę się przez cały tydzień ze swojemi dziećmi a nawet w niedzielę jest także obcowanie z niemi bardzo ograniczone, gdyż chodzą do szkoły niedzielnej a potem bawią się ze swoimi młodocianymi przyjaciółmi i przyjaciółkami Nic więc dziwnego, że dotąd wzajemnie jeszcześmy się nie poznali. W niedzielę miałem niedawno sposobność dać swemu malcowi, który na podworcu niegrzecznym się okazał, ostrą nauczkę swoją trzcinką. Z głośnym krzykiem pobiegł do matki. Na pytanie kto mu przykrość wyrządził, odrzekł szlochając: „Człowiek, który co niedziela u nas się zatrzymuje i do stołu siada“! O pewnej żonie farmera, posiadającej sławę Xantyppy opowiada pewien dziennik zachodni: „Do pewnej samotnej farmy wdarł się w nocy niedźwiedź. Żona będąc sama w domu sądziła, iż to mąż jej podochocony tak późno przychodzi i nie zapalając światła, przyjęła go według zwyczaju. Niedźwiedź umknął szczęśliwie i miał jeszcze tej samej nocy ubiedz jedenaście mil; towarzysze jego leśni unikali go przez kilka tygodni z powodu jego strasznego wejrzenia“.

„Ojciec Ojczyzny“ Waszyngton, nie był bardzo dowcipnym, a jednak przypisują mu dwa dowcipne spostrzeżenia, Podczas debaty na pierwszym kongresie nad kwestyą wystawienia armii związkowej wniósł pewien członek projekt, aby armia nie liczyła więcej niż 3000 ludzi. Na to wniósł Waszyngton, aby uchwalono, iż żadna armia nieprzyjacielska licząca ponad 2000 ludni nie odważyła się wkroczyć do kraju. Śmiech, jaki stąd powstał, zagłuszył pierwszy wniosek. Drugi raz dał dowody dowcipu, gdy towarzyszył do Kapitolu swemu następcy w urzędzie, prezydentowi Adamsowi: „Szczęśliwy jestem, rzekł wóczas, „żem ustąpił, on zaś, iż szedł do urzędu, teraz zobaczymy, kto z nas szczęśliwszy.“

Pomiędzy jego następcami stał się kilkakrotnie dowcipnym Jacson, który zwykle pisał bardzo nieortograficznie, ale najwięcej humoru posiadał wielkiemi zdolnościami obdarzony Lincoln. Ten prezydent był niezwykle brzydkim. Gdy pewnego razu przejeżdżał po kraju z nieznanym woźnicą, obrócił się tenże z głośnym śmiechem. Lincoln zapytał go o przyczynę. „Ach“, rzecze woźnica, wycierając sobie łzy z oczu, „towarzysze moi wyśmiewali mię zawsze, twierdząc, iż jestem najbrzydszym człowiekiem pod słońcem i to musi być prawdą, gdyż wszystkie dziewczęta uciekają odemnie. Gdy zaś pana zobaczyłem, nabieram znowu otuchy; wszak pan jesteś brzydszym odemnie“. Na to roześmiał się także Lincoln i wynagrodził sowicie otwartego woźnicę. Lincoln miał zawsze pod ręką gotową odpowiedź. Jego szpetne rysy jaśniały pod wpływem wesołego spostrzeżenia Pewnemu Niemcowi, który starając się o posadę wojskową, chlubił się przytem swojem dawnem szlachectwem, odpowiedział sucho: „Spodziewam się, iż to panu szkodzić nie będzie“. Pewnego razu zjawił się na audyencyi u Lincolna człowiek olbrzymiego wzrostu. Ciężkim krokiem przystąpił do Lincolna i wyraził życzenie uściśnienia jego ręki. Doznał wprawdzie przychylnego przyjęcia, ale dalsza rozmowa była niemożliwą, gdyż z prostaka nie można było nic wydobyć. W końcu zauważył Lincoln: „Sądzę, iż pan większym jesteś odemnie“. Gdy olbrym zaprzeczył, zaczęli się mierzyć na ścianie wśród wielkiej wesołości wszystkich obecnych; adjutant położył długą linię ponad głowami obydwóch i sprawdził, że prezydent miał słuszność.

Krwawą była wojna między północą i południem Stanów Zjednoczonych, ale na dowcipie i wówczas nie zabrakło, gdyż o ile jankesom chodziło o Unią i jej utrzymanie, o tyle wpadali w zapał, gdy o ich własną korzyść chodziło. Świetnie przedstawia to sławny humorysta kalifornijski Bret Harte: „Była to cicha, nowoangielska wioska. Orzechy muszkatowe dojrzewały na drzewach a drzewo sosnowe przeznaczone na użytek armii otrzymywało pod ręką ochoczego robotnika swoje okrągłe kształty. Szanowny pachciaż z Connectient wyrabiał w milczeniu gwoździe do butów, które zmieszane z dostateczną ilością owsa, dostarczały zniewieściałym ludom Europy ponętnego surogatu na paszę dla bydła“. Mimo wielkiego patryotyzmu, fabrykowano w Ameryce podczas wojny szable, które przy spotkaniu zaraz się wyginały i nikogo dotkliwie nie raniły, strzelby niewypalające i proch nie eksplodnjący. Kapelusze filcowe, w jakie armia była zaopatrywana, były wyrabiane z mieszaniny włosów i papieru; w czasie nagłej ulewy znalazła się połowa armii bez nakrycia głowy, gdyż kapelusze całkiem woda rozmoczyła.

Wielki dowcip rozwijają w Ameryce również w reklamie swoich interesów. W Toledo wskoczył jakiś człowiek do wody, skąd go bez trudności wydobyto; przy bliższem zaś zbadaniu znaleziono jego. Suknie obszyte jaskrawymi skrawkami, które zawierały reklamę interesu. Publiczność oburzona chciała go należycie ukarać, ale policya przeszkodziła temu. Fabrykant środka przeciw reumatyzmowi donosi: „Nero grał na lirze, podczas gdy Rzym stał w płomieniach; jawny to dowód, iż wolny był od reumatyzmu. Kto chce podobnego doznać skutku, ten niech użyje Harrisa esencyi autireumatycznej“. W dzień urodzin Waszyngtona wystawił przedsiębiorczy handlarz w Nowym Jorku za oknem zarzutkę, którą Waszyngton miał nosić we wojnie podczas ostrej zimy; suknia była opatrzona napisem: Jakżeby się zadziwił Waszyngton, gdyby zobaczył nasze wełniane spodnie, których cenę zniżyliśmy teraz na 1·90 dolara“. W południowej Indyanie chowano człowieka a jakiś włóczęga oparł się o mur cmentarny i zapytał. „Był on mężem stanu? „Nie“. „Mowcą?“ „Nie“. „Poetą?“ „Nie“. „Sławnym wynalazcą?“ „Nie, on był tylko uczciwym człowiekiem“. „A czemuż wdowa nie pojechała z ciałem do Chicago i nie wystawiła go

tam jako rzadkości?“ I Indyanie korzystają z dowcipu swoich ciemięzców. W Oregon przybył naczelnik Indyan do miasta; tam objaśniono mu znaczenie wyrazu „bankrut“. Powróciwszy do swej wioski starał się swemu przyjacielowi wyjaśnić czego się nauczył. „Chcąc zrobić bankructwo, rzekł, wynajmujesz sobie sklep, towary otrzymasz napisawszy do wielkich kupców w odległych miastach z prośbą o takowe, przyrzekając zapłatę za kilka miesięcy. Otrzymawszy już dosyć towarów, sprzedajesz takowe a następnie udajesz się do sędziego i mówisz: „Zbankrutowałem, nie zostało mi nic, oprócz 10 dolarów“. Sędzia zatrzymuje 7 dolarów i ogłasza bankructwo, trzy dolary zaś otrzymują do wspólnego podziału dostarczyciele towarów. Po niejakim czasie przenosisz się do innego miasta i rozpoczynasz interes na nowo“.

Nawet kaznodzieje rozmaitych sekt amerykańskich współzawodniczą z sobą nawet na ambonie w wycieczkach humorystycznych często bez powodu. Tak czynią szczególnie duchowni metodystów, aby swe kościoły zapełnić. Przy końcu swego kazania zatrzymał się nagle pewien duchowny w Newhampshire a spoglądając ku drzwiom rzekł: „Cieszylibyśmy się, gdyby wszedł młody człowiek i przekonał się, czy ona tu jest czy nie. Byłoby to rzeczą o wiele korzystniejszą, niż siedzących na tylnych krzesłach wystawiać na działanie przeciągu i trzymać drzwi na pół cala otwarte.“

Wiadomości ze świata.

Filomaci. Pod tą nazwą zawiązało się we Lwowie stowarzyszenie katolickiej młodzieży akademickiej. Należą do niego Polacy i Rusini i wskutek tego ustawy drukowane są po polsku i po rusku i zastrzeżono zupełne równouprawnienie obydwóch języków.

W skutek niezmiernych śniegów jakie spadły tej zimy w niektórych okolicach Królestwa polskiego, pojawiły się tam wilki, które, trawione głodem, odznaczają się w tym roku niesłychaną śmiałością. W pewnej wiosce polskiej przy granicy galicyjskiej wyszedł pewien chałupnik, mieszkający na samym końcu wsi rano wraz z żoną na robotę, pozostawiwszy w izbie 10cioletniego synka i psa swego. W godzinę później przechodził koło tej chaty leśniczy z pobliskiego lasu i usłyszał w niej straszliwe wycie. Przybliżył się więc do drzwi, które były wyłamane i ujrzał przez nie ogromnego wilka, który pożerał resztki zagryzionego psa. Obok leżał na ziemi synek chałupnika. Nie namyślając się długo, strzelił leśniczy do wilka i zabił go na miejscu. Wszedłszy następnie do chaty, przekonał się, że synek chałupnika żyje i że jeno omdlał ze strachu. Odzyskawszy przytomność, opowiadał chłopak, że wilk zjawił się krótko po odejściu rodziców i tak długo dobijał się do drzwi, aż je wywalił, poczem rzucił się na psa, którego pożarł. Chłopcu nic się nie stało, przestraszył się jeno wielce. Leśniczy otrzymał za uratowanie chłopca od pana swego 30 rubli nagrody.

Prowincya *La Plata* w rzeczypospolitej Argentyńskiej ma 786, 138 ludności a 70 milionów dolarów długu.

Nie więcej tylko 100 milionów potrzebuje Rzym, by swe finanse przyprowadzić do porządku, i tej to sumy domaga się miasto od rządu. Tymczasem państwo włoskie wcale nie jest tak bogatem, by mogło z swej kasy wyszafować tak znaczną sumę, gdyż samo posiada 10 miliardów czyli 10.000 milionów długu. Teraz łatwo pojąć, dlaczego rządowi włoskiemu taki apetyt zrobiły pobożne fundacye, które niedawno zagrabił.

Plemię Indyan w Ameryce coraz się zmniejsza. Według najnowszych obliczeń statystycznych, liczba ich wynosi obecnie 262.620, z czego na indyańskie terrytorium 83.234; w Dakocie żyje ich 31.400; w Nowym Meksyku 30.000; w Arizonie 21.163: w Montanie 14.775; w nowem państwie Waschingtona 10 996; w Kalifornii 11.400; w Newadzie 8.316: w Michigan 9.577; w Minesocie 5.287; w Wisconsin 7.838; w Stanie Nowo-yorskim jest 5000 Indyan czerwonoskórnych. Reszta żyje w rozprószeniu w Idaho, na Jawie, w Kanzas, w Nebrasce, w prowincyach Carolina, Teksas, Utah, Florida i Maine, gdzie jest jeszcze około 400 Indyan.

Miastu Halli zapisał testamentem, jeden z jego obywateli, p. Rübeck, zmarły przed 2 miesiącami w Japonii, cały swój majątek wynoszący około 2½ miliona marek.

Kronika kościelna.

Ziemie Polskie. Nowe ciężary. Jednocześnie z rozporządzeniem, przeznaczającem 250 tysięcy rubli na urządzenie cerkwi w guberniach tak zwanych kraju zachodniego i 100 tysięcy w Królestwie Polskiem, postanowiono, jak podają „Moskowskija Wiedomosti“, celem pewniejszego zabezpieczenia bytu duchowieństwu w 9 guberniach kraju zachodniego oddzielny podatek gruntowy, ściągany na podstawie wyłącznych przepisów na rzecz duchowieństwa określać na przyszłość w stałej i niezmiennej wysokości 728,713 rubli jako zapomogę z kasy państwa.

Najprzew. ks. biskup Hryniewiecki. wywieziony przed kilku laty z Wilna w głąb Rosyi, ma wkrótce stanąć na ziemi galicyjskiej, i jak pisał „Przegląd“, osiąść we Lwowie. Do Podwołoczysk pojedzie pod ekskortą żandarmów. Rząd rosyjski, wyznaczył mu podobno pensyą 2000 rubli rocznie.

Misye OO. Zmartwychwstańców w Adryanopolu. „Grono kapłanów ze Zgromadzenia Ojców Zmartwychwstańców, pracujących na misyi w Adryanopolu, powiększyło się o trzech. W ostatnim bowiem czasie, 3 alumnów, należących do Zgromadzenia w tutejszem seminaryum, otrzymało święcenia kapłańskie, jeden zaś dyakonat. Znaczną atoli stratę poniosła misya ta przez śmierć ś. p O. Piotra Szkodrowa. Zmarły był Bułgarem. Nauki początkowe pobierał w zakładzie naukowym OO. Zmartwychwstańców w Adryanopolu Już w bardzo młodych latach odezwało się w nim zakonne powołanie. Wstąpiwszy do Zgromadz. w Rzymie odbywał tu nowicyat. Tutaj zwrócił na siebie uwagę swoich przełożonych nadzwyczajną pilnością. Przykładnem i cnotliwem pro-

wadzeniem się, również i miłem obejściem zjednał sobie serca wszystkich. Ściśle zachowując milczenie zakonne w czasie właściwym, umiał być bardzo wesołym w czasie rekreacyi, by drugim uprzyjemnić chwile odpoczynku. Jak pilnym i gorliwym był w naukach dowodzi to, iż w przeciągu lat sześciu uzupełnił brak w naukach wstępnych, wyuczył się biegle czterech języków obcych, co więcej, studya akademickie ukończył z predykatem „maxima cum laude“, otrzymawszy w nagrodę medal złoty a w końcu złożywszy jak najchlubniej doktorat z filozofi.

Niestety — zaledwie ukończył studya, zaziębiwszy się, zachorował na chorobę piersiową. Że zaś powietrze rzymskie nie najlepsze jest dla chorujących, — gdy więc cokolwiek mu się polepszyło, wysłało go Zgromadzenie w strony jego ojczyste, do domu misyjnego w Adryanopolu. Tutaj po pewnym przeciągu czasu, z całą gorliwością zabrał się znowu do pracy, by wykładać w tutejszem seminaryum nauki. Niespełna dwa lata popracowawszy, zapadł znowu bardziej w chorobę i po trzech tygodniach, w których się już z łóżka nie podniósł, umarł dnia 17 grudnia zr W ciągu całej choroby nie okazał nigdy znaku zniecierpliwienia, lecz jak wszystko, tak i tę chorobę przyjmując z budującem poddaniem się woli Bożej, umarł mając zaledwie lat 26. Pozostawił po sobie przykład wytrwałej pracy, wielkiej miłości Boga i bliźniego i wzór doskonałego zakonnika

Spokój jego duszy.“

Rozmaitości.

Panowanie języków. Najwięcej ludzi mówi po chińsku, bo przeszło 400 milionów, więcej aniżeli jest ludzi w całej Europie. Z kolei następuje język Hindów, czyli język staroindyjski, którym mówi 100 milionów. Angielskim językiem mówi także 100 milionów ludzi rozrzuconych po Europie, Ameryce i Azyi południowej. Po moskiewsku mówi przeszło 70 milionów Liczą w to i Rusinów. Niemcy liczą sobie 75 milionów, ale to jest przesadzone, bo w rzeszy niemieckiej jest tylko 40 milionów, w Austryi może 12 milionów. Ile zaś jest w Ameryce i po innych częściach świata, powiedzieć trudno. Po hiszpańsku mówi 50 milionów w Europie, w Ameryce i po wyspach Po francusku mówi cały świat uczony, ale prostego ludu mówi po francuzku tylko 45 milionów, po włosku 27, po portugalsku 25, czegoby nikt nawet nie myślał, patrząc na ten mały kraik w Europie. A jakże tam z nami Polakami? Żeby nie przesadzić. to wieśniaków i mieszczan rodowitych Polaków jest w tej chwili pod Prusakiem $3^1/_2$ miliona, w Austryi także 3 miliony, pod Moskalem jakie 12 milionów Trzeba jednak dodać, że wiele Litwinów i Rusinów używa polskiego języka jako drugiego domowego, także na drodze od Bałtyku do morza Czarnego, mieszka ludzi językiem polskim mówiących jakie 20 milionów. Rozprószonych nie liczymy.

Archidyecezya lwowska.

Zamianowany: O. Lud. Szul, z zak. OO. Bernardynów, admin. w Narajowie..

Przeniesiony: ks. Leon Borkowski z Jezierzan do Trembowli.

Kanoniczną instytucyą na Bolechów otrzymał ks Ad. Widajewicz.

Dyecezya przemyska.

Referentami konsyst. zamianowani: ks. dr. W. Galant, ks dr. Trznadel.

Egzaminatorami prosynod.: ks. prof. J. Milczanowski, ks. dr. J. Żabuda i ks. dr. J. Mazanek.

Prezentę na prob. w Falkenbergu nadało c. k. Namiestnictwo ks. M. Burczykowi, wik. w Tarnowcu.

Przeniesieni: ks. Karol Kłeczek ze Szebni do Stojaniec, a ks. M. Gromada ze Stojaniec do Szebni.

Umarł w Dynowie ks. Ed. Palch, prob. miejsc., ur. 1819, ord. 1844, benef. 1865. R. i. p.

Od Redakcyi.

Po raz wtóry ośmielamy się prosić P. T. Adresatów, by raczyli albo zgłosić się z chęcią zapisania ich na listę prenumeratorów **Gwiazdy katolickiej**, to znaczy, by *nadesłali przedpłatę*, albo zwrócili nam otrzymane numera. Sądzimy, że nie tyle druga, ile raczej pierwsza prośba nasza uwzględnioną zostanie.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarząd Baylego.